



Piotr Müldner-Nieckowski

Instrukcja dedykowana odkurzaczowi...

Nazywanie wieków XX i XXI „dobą informacją” jest nadużyciem, takim samym jak idiotyzm traktowania roku 2000 jako początku XXI wieku. Już pomijam błędne utożsamianie wieków z dołami. Zwracam natomiast uwagę na to, że rozwój informatyki i komputeryzacji znacznie wyprzedził umiejętność informowania i to nie tylko w Polsce. Informacja przestała być dobrym prawdziwie dostępnym, bo jest złem – straszliwie zdeorganizowanym, zakłamanym i zanieczyszczonym. W rękach dziennikarzy, tak zwanej czwartej władzy, stała się narzędziem manipulacji milionami ludzi. Ale nie koniec na tym. Informacja traci swoje ostatnie wartościowe funkcje, zwłaszcza te, które edukują ludzi w zakresie obrazu i funkcji życia codziennego.

Wystarczy kupić komputer. Instrukcja obsługi urządzenia i programów będzie więcej niż lakoniczna, przeważnie obrazkowa z niezrozumiałymi znaczkami i uproszczeniami, których sami autorzy po pewnym czasie nie rozumieją. W dokumentacji komputera na pewno nie znajdziemy omówienia najczęstszych problemów nabywcy. Napisana językiem hermetycznym, lakonicznym, najeżona anglosaskimi barbaryzmami, obowiązkowo załśni polskimi błędami językowymi, w tym ortograficznymi, że o interpunkcji nie wspomnę. W dodatku na wstępie uraczy nas głupawym podziękowaniem „za zakup naszego produktu” i sążnistymi wypocinami na temat ochrony środowiska naszym nowo nabytym towarem, kiedy ten towar po dobrych kilku oczywiście latach (albo o wiele szybciej, co wcale nie jest wykluczone) nagle przestanie działać.

Szczyty nieudolności dydaktycznej wykazuje tu Microsoft, który po przekroczeniu pierwszego miliona zarobku (mniej więcej w roku 1984, czyli w początkach Windowsów) zapomniał o klientach i do dzisiaj ma ich w tylnej części ciała poniżej kości krzyżowej. Pomoc ekranowa i podręcznik systemu Windows urągają zasadom przekazu. Brak tam całkowicie zrozumienia dla szaraka. Informatycy zakładają, że wszyscy posługują się ich językiem i nikt nie może nie wiedzieć, co znaczy „zresetuj wszystkie foldery” czy „fatal error” oraz jaka jest różnica między „wstrzymaj” a „zatrzymaj”. Szukanie wybranego hasła z obsługi systemu zbyt często kończy się niepowodzeniem, nie ma logicznego porządku w budowie poradnika (obecnie istniejącego już tylko w rozrzutach internetowych), omawia-

ne są procedury oczywiste, pomijane skomplikowane. Niektóre odsyłacze tworzą zamkniętą pętlę: „mikser? patrz multimedia; multimedia? patrz mikser”. A mikser w kuchni.

Kupiłem skaner amerykańskiej firmy Umax, aby szybko i solidnie skanować. Twórca tego sprzętu całkowicie zaniedbał obowiązki wobec mnie (a przecież płacę!) i, co ciekawe, wobec siebie samego. Rozumiem oszczędność na wysiłku pisania, kosztach papieru i druku, ale nie pojmuję, dlaczego nie podano istotnych danych o funkcjach urządzenia. No, na przykład tego, że włączony i nie używany po pewnym czasie sam się wyłącza. Dla mnie to ważne. Przez miesiąc szukałem wyłącznika, niepotrzebnie wyjmowałem wtyczkę z gniazdka. Zapomniano nawet o opisanu zasad skanowania. Tylko moje tragiczne lenistwo spowodowało, że nie oddałem skanera do sklepu i nie kupiłem konkurencyjnego, tym razem z porządnymi objaśnieniami.



Obowiązuje hasło: „im lepszy i droższy sprzęt, tym mniej o nim danych, bo drogie jest dla mądrych i kompetentnych (i stać ich na doradców), a tanie dla głupszych i niedouczonej, bo i tak nie skorzystają”. A to błąd w rozumowaniu producentów: znam mnóstwo idiotów, którzy w ciągu tygodnia zarabiają nieporównanie więcej pieniędzy niż mądrzy w ciągu roku. Zdaniem producentów użytkownicy pralek, lodówek, pieców i tak dalej, z każdym głupim pytaniem mają siadać do Internetu albo biegać do sprzedawcy lub punktu naprawy („contact your dealer”). Przecież wiadomo, że sprzedawcy na całym świecie są niekompetentni, a w Internecie roi się od niewiedzy i dezinformacji. A może uważa się, że użytkowanie jest aż tak in-

tuicyjne, że każdy dureń będzie od razu wszystko wiedział? Tak jak to było z moim nowym rowerem, w którym łańcuch tak się zaplątał w przerzutce, że nawet trzech życzliwych sąsiadów-mechaników (wraz z dużym oprzyrządowaniem) nie dało sobie z nim rady i dopiero wymiana pojazdu w sklepie załatwiła problem.

Tak jest nie tylko z komputerami, ale i lodówkami, pralkami czy – co staje się wręcz niebezpieczne – samochodami. We francuskiej instrukcji Peugeota mojej żony nie ma ani słowa o stosowaniu wariantów oświetlenia, licznych udogodnieniach (które mają być wizytówką auta), ani o wymianie koła, prędkościach na poszczególnych biegach, sposobach hamowania czy lokalizacji pojemnika na płyn do spryskiwacza. Z kolei w mojej Toyocie jest super instrukcja, piszą w niej o wszystkim, niczego nie pomijając, ale językiem tak starannie i urzędniczo zdefasonowanym, że bez pół litra nie ma co się do niej zabierać. Najlepiej na początek dać autu kopa w tylną oponę, żeby się nie znarowiło.

Nie rozumiem tej polityki – wszak instrukcja jest rodzajem reklamy, to jeden z ważniejszych elementów procesu sprzedaży. Inżynierowie, wynalazcy i projektanci włożyli tyle pracy w konstrukcję, przyjazne funkcjonowanie i łatwość obsługi urządzeń, a tu komuś z działu marketingu nie chciało się tego opisać, obrobić, przyswoić, przygotować do czytania i zachwytu, ustawić do solidnego użytkowania!

Może warto założyć szkołę pisania instrukcji? Wiele firm zwielokrotniłoby dochody, naprawdę. Jestem w stanie (za odpowiednio dużą kwotę – rzecz warta świeczki!) napisać instrukcję pisania instrukcji i prowadzenia skutecznych szkoleń w tym zakresie, dlatego boli mnie i dziwi, że w ciągu wielu minionych lat nie spotkałem ani jednej dobrze napisanej instrukcji obsługi czegokolwiek. ANI JEDNEJ. Informatyczka ministra Barbara Nowacka wzięła się za spłaszczanie edukacji, ale ze swoimi szykanami co do wychowywania młodzieży może się schować. Nie ona wymyśliła ograniczanie ich edukacji i przygotowania do życia.

Pierwsi byli producenci za czasów komuny. Ci bowiem od końca drugiej wojny światowej nie umieją sprostać pisaniu. Pisaniu w prostych sprawach o prostych rzeczach. Widać to na co dzień. Rower, szczyryk, krem pod oczy, modem, baterię umywalkową kupuje się wraz ze źle odbitym na ksero świstkiem, który bez szkody można wyrzucić, bo w Polsce trudno na poczekaniu znaleźć tłumacza z chińskiego czy koreańskiego, nie mówiąc o kapryśnym bełkocie polskich inżynierów. Zdaniem fabrykanta, jego towaru należy po prostu używać, a jeśli wystąpią problemy, to na ich rozwiązywanie z założonymi rękami czekają fachowcy (mają to być spece od szczyryków, kremów pod oczy itd.? A przecież oni zniknęli, tak jak szewcy, krawcy, szklarze i inni niezbędni ludzie od takich spraw).

Skutki są oczywiste: ludzie korzystają z wyrobów tak jak z książek po złej szkole: nieefektywnie, a często po prostu fałszywie, błędnie. I w dodatku twierdzą, że kupili bubel. Czytanie nie ma w tych warunkach sensu. Tak, bo przecież ich zdaniem wiadomo, że coś, co działa połowicznie albo wcale, jest oczywistą niedoróbką. Ludzie nie muszą się na wszystkim znać i wiedzieć, że instrukcja do świeżego nabytku jest najsłabszym elementem towaru.

Przejdźmy się autem po Warszawie. Zaczęto poprawiać informację drogową, są nowe,

kosztowne drogowskazy. Pracował nad nimi jakiś plastik, który może zna się na kompozycji dzieła, ale nie ma pojęcia o informowaniu. Kolejność danych nie odpowiada rzeczywistym układom na trasie. Strzałki o nietypowym kształcie nietypowo umieszczono po prawej stronie tekstu, choć w całej Europie (a nawet w tej tam zateętej Ameryce) i w takim Poznaniu czy Wrocławiu są po lewej (mają tam więcej komunistów?). Kolory dobrano tak, że napisy nie wyróżniają się z tła ulicy. Więc kierowca, czytający zgodnie ze swoimi nawykami i mający do dyspozycji ledwie 2-3 sekundy, będzie szukał znanych sobie strzałek bezskutecznie. Nie znajdzie, przejedzie, pomyli drogę. Na warszawskich drogowskazach umieszcza się nazwy zrozumiałe tylko dla tubylców, np. „Wierzбно”, „Młynów”. Już mieszkańcy innych dzielnic ich nie znają, cóż dopiero przybysze z dalekich części Polski. Ponieważ zgodnie z prawem Tinkera czytanie polega na rozpoznawaniu znanych całościek wyrazowych, nietypowe nazwy na tablicach uniemożliwiają skorzystanie z nich, bo mylą i „zasłaniają” nazwy istotne.

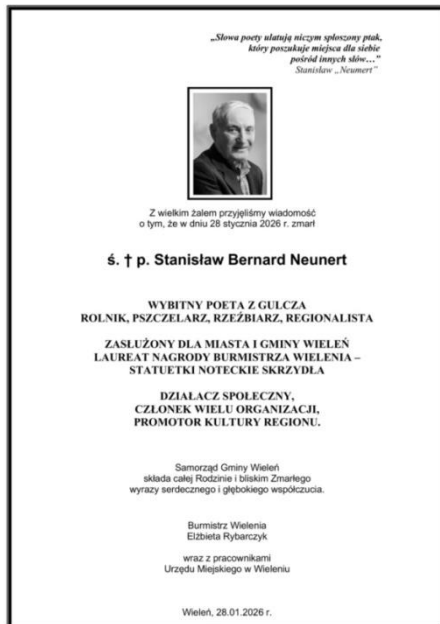
Z reguły nietrafny jest też dobór nazw miejsc docelowych umieszczanych na nowego typu drogowskazach. Jadąc na przykład z Warszawy do Torunia, musimy mieć mapę, choćby elektroniczną. Inaczej się zgubimy. Na drogowskazach odnajdujemy bowiem Olsztyn, Suwałki, Gdańsk czy Malbork, ale Toruń występuje tylko dwa razy, i to na początku trasy w Warszawie, a potem dopiero na dwa kilometry przed granicą miasta. Tak jest teraz w całej Polsce, ale zaczęło się złym przykładem stolicy.

Rekordy antyżytkowości biją co roku abstrakcyjne tablice informacyjne na targach książki w Pałacu Kultury i na Stadionie Narodowym. Nie można trafić nawet do, za przeproszeniem, klozetu. Idzie się więc tam, gdzie dłuższa kolejka, bo może ludzie stoją po coś pożytecznego...

Bezmyślność? Nie sądzę. Po prostu amatorszczyzna, słabe rozeznanie świata rzeczy i ludzi. Nieogarnianie problemu. Nieumiejętność organizowania imprez. Nierozumienie klienta, przechodnia. Zajmują się tym albo urzędnicy, którzy nader często mają problemy z napisaniem prostego listu czy choćby informacji na własnych drzwiach, albo artyści, którzy nie potrafią się pohamować przed tworzeniem epokowych grafik. Zawodzą ich prywatne przeświadczenia o celach i metodach informowania, albo zapominanie o tym, po co i dla kogo piszą.

A tłumy błędzą. Może właśnie o to chodzi?

O wszystkim tym wspominam dlatego, że w czasach informacji, która zatraciła swój informacyjny charakter i zaczęła się zajmować namawianiem ludzi, aby przestali w cokolwiek wierzyć (zwłaszcza w sens i skuteczność szczepień i popierania lepszych urzędników państwowych), a zajęli się wpłacaniem coraz większych datków na niezliczone dawniej darmowe sprawy. Na dodatek szkoła zgodnie z nowymi zasadami (wraz z odbieraniem rozumienia tekstów pisanych) będzie oduczać pojmowania czegokolwiek i orientacji w czymkolwiek. Oduczać logiki, a z logiką etyki.



Krzysztof Gołębiowski

Książki w epoce pośpiechu

Co kilka lat wraca moda na ogłaszanie końca ery książek. Najpierw miały je pogrzebać telewizory, potem komputery, później smartfony – aż wreszcie triumfalnie wkroczyły do dyskusji przewijane w nieskończoność portale i krótkie komunikaty, które ze słowami obchodzą się tak, jakby były jednorazowego użytku. Jednak książka ciągle trwa. Nie tylko w wersji papierowej, choć to ona najbardziej rozczuła tradycjonalistów. Trwa również jako e-book, audiobook, publikacja na czytnik, tekst zaklęty w formę elektroniczną równie cicho, jak w papierową. Trwa, bo ludzie nadal czegoś potrzebują – czegoś, co nie da się zastąpić strumieniem treści, choćby był najszybszy. Książka to nie tylko powieść, ale to także zbiór myśli, podęcznik, służący człowiekowi.

Książka jest konstrukcją zaprojektowaną tak, aby czytelnik mógł wejść w rytm dłuższy niż minuta, dłuższy niż akapit, dłuższy niż przeciętne wideo w sieci. Książka narzuca pewną powolność, a powolność bywa dziś swego rodzaju formą oporu i luksusem w świecie rozproszonych bodźców, w którym można sobie pozwolić na możliwość zatrzymania się, spokojnego wchłaniania treści. Wielu badaczy kultury alarmuje, że dominacja treści wizualnych zmienia sposób przetwarzania informacji; obrazy przykuwają naszą uwagę błyskawicznie, ale równie szybko są ignorowane. Książka działa inaczej. Niezależnie, czy jest drukowana, czy wyświetlana, wymaga czasu na zrozumienie. Czytelnik musi w nią wejść – i to wejście jest wysiłkiem. Ten właśnie wysiłek odróżnia literaturę od wielu współczesnych produktów informacyjnych, bo książka nie podaje się sama na tacy. Książkę trzeba zdobyć.

Wbrew twierdzeniom sceptyków formy cyfrowe nie są wrogiem literatury. E-book nie niszczy doświadczenia lektury – on je rozszerza. Audiobook nie pozbawia czytelnika wyobraźni – wyobraźnia działa równie intensywnie, tylko innymi kanałami. Możliwość czytania w nocy bez lampki, zabierania w podróż setek tytułów, słuchania powieści podczas jazdy samochodem, to nie kapitulacja wobec technologii, lecz jej wykorzystanie do utrwalenia nawyku czytania.

W świecie informacyjnego hałasu książka staje się filtrem – selekcją, która wskazuje, co jest warte czasu. To właśnie dlatego księgarnie „cyfrowe” i „papierowe” nie pustoszeją, mając ciągle klientów. Dlatego autorzy nadal piszą długie utwory, mimo że cały Internet przekonuje ich, że nikt nie czyta tekstów powyżej dziesięciu zdań. Książka jest świadectwem, że wciąż istnieje miejsce na pogłębienie, na refleksję, na złożoność, na wielość, na narrację, która nie musi kończyć się po siedmiu sekundach.

Warto też pamiętać, że książka nie jest jedynie magazynem treści. To także medium relacji. Czytelnik – niezależnie od nośnika – wchodzi z nią w kontakt bliski, indywidualny, pozbawiony społecznej presji i kiedy czyta książkę, jest poza systemem, nienamierzony, niezarejestrowany.



Mirosława Poncyliusz

4 X 1952 – 11 I 2026

Dwudziestego trzeciego stycznia pożegnaliśmy na Cmentarzu Junikowskim Mirosławę Poncyliusz, wieloletnią członkinią naszego Klubu Literackiego, poetkę, laureatkę konkursów literackich, tłumaczoną na angielski, niemiecki i serbski, autorkę książek poetyckich i almanachów, współredaktorkę kwartalnika „Protokół Kulturalny”. Mirosława Poncyliusz była członkinią Stowarzyszenia Liberum Arbitrium, absolwentką a potem wieloletnią pracownicą Politechniki Poznańskiej.

Żegnamy się słowami Twego wiersza:

... gdzie cienie przezroczyste i sny, a pragnienia tak lekko dotykają ziemi.

Tu – tylko skrzydła czyszczę...

Zostajesz w naszej pamięci.

Ty i Twoje słowo

Członkowie Klubu Literackiego w Poznaniu

Irmina Kosmala

Wołania z Krainy Pucu albo żywot trupa. Księga paradoksu.

Bardzo zaskoczyła mnie ta pięknie wydana, poetycka książka naszego gnieźnianina - Wojciecha Grupińskiego. Słowo „zaskoczyła” zawiera informację, że wcześniej mogłam mieć wobec niej jakieś presupozycje. Ponieważ nie czytałam jego poprzedniego tomu poetyckiego *Coś*, wydanego w 2010 r., nie tylko nie miałam oczekiwań związanych z następnym dziełem poety (poszukiwaniem analogii, porównywaniem stylów, tropieniem nowego języka), ale byłam wolna od wszelkiej gradacji tychże dzieł. Moje zaskoczenie w tym przypadku dotyczyło więc podjętego przez poetę tematu i konsekwentnym eksplorowaniu go do ostatniej kropki.

Pierwsze trzy utwory (*Szum w konarach, Kieszeń kamizelki, Nauki z żywota*) odczytuję jako etap duchowego „wykluwania się” bohatera *Wołań...* Pewien mężczyzna, nieznan nam z imienia, budzi się do życia. Lecz co go budzi? Najpierw, rzecz jasna, cierpienie. Budzą go „rytmy / owego osławionego zwodniczego świata zmysłów”. Następnie budzi go przyroda. Budzą go szumy wiatru i liści. Budzą również lęki, niepokoje, „drzazgi i szumy ubiegłych dni”. Do czego go to wszystko budzi? Do bezlitosnego przekonania. „Że umrze on i oni wszyscy umrą”. Lęk i trwoga ujawniają nicność: *Jednak nie tak, jak tego sobie od tysiący lat życzą, / ku pokrzepieniu oszukując siebie / nieuleczalnym pragnieniem. / Nie – bo umrą ostatecznie. / Nieodwołalnie, bez reszty, do cna, / trupio. / Umrą nieskończenie. (Kieszeń kamizelki)*

Tutaj nie ma i nie może być cudownego przebudzenia. Dojmujące poczucie skończoności swojej i całego świata powoduje „ocknięcie w otchłani”. Jak zatem teraz udźwignąć w sobie tę nowoodkrytą „otchłań”? Jak z tą tragiczną świadomością dotyczącą swojej skończoności, dalej żyć: posprzątać werandę, nakarmić psa, ugościć przyjaciół? Odpowiedź na to pytanie przynosi kolejny wiersz, w którym bohater wyciąga „naukę z żywota”, by przestać karmić się nadziejami, marzeniami i mrzonkami o przyszłym szczęściu. Należy starać się być realistą. Myśleć filozofią dwudziestowiecznych egzystencjalistów ateistycznych. Spróbować zmierzyć się z bezsensownością życia, dokonywać w nim trudnych wyborów, a po wszystkim pocieszyć się „tabliczką czekolady”. Zaiste, dobra tabliczka czekolady potrafi zagłuszyć choć na chwilę absurd „rzucenia w świat”, mruga do nas porozumiewawczo poprzez wersety swych myśli autor. Jego filozofia absurdu osadza się na przekonaniu, że im mniej się pojmuje, tym bardziej się jest. Prawda w tym wyjałowionym z transcendencji świecie, została rozbita na miliony drobnych szklanych kawałków, niemożliwych do złożenia w jakąkolwiek całość. Smutna konstatacja spoziera pośród zaczernionych strofami kart tej przypowieści o jakże bliskim nam istnieniu: ani prawda, ani wolność nie są w tym świecie nam dane. Prawda jest rozbita, rozmienio-

na dawno temu przez Judasza na drobne, a wolność, która przecież czerpie swą siłę istnienia z pewnej, a zatem prawdziwej wiedzy o świecie, niemożliwa jest do przeżycia.

Istniejemy więc poza najwyższymi wartościami. Ktoś się nami zabawił, rzucając nas w ten świat. Rzucając niczym kamień w ciemną wodę. *A w jego poczerwieniałej od wysiłku twarzy ujrzałem wyraźnie / twarz mojej babci i twarz pradziadka, i twarz moją. / Nukleinowe dziedzictwo – / kości rzucone przez Stwórcę. / Przypadkiem, nieprzypadkowo. (Spotkanie z ojcem)*

Powyższy zacytowany fragmentarycznie utwór oraz następne dwa (*Tryptyk z Miriam B., Hymn apofatyczny*) to po „wykluciu się” bohatera podjęcie próby dialogu – z ojcem, ukochaną, a nawet z samym Bogiem.

W tej, dojrzałej do duchowego wzrostu części, nie ma miejsca na nicość, na pustkę. Jest oczywiście brak – brak umiejętności nawiązania relacji z najbliższymi, brak porozumienia się, relacyjności, ale jest w tych utworach również zawarta chęć podjęcia dialogu, który przez lata nieodnalezienia wspólnego języka, w zasadzie staje się już niemożliwy do podjęcia:

I w najprawdziwszym, bo wbrew woli, uniesieniu / zapragnąłem ojcu to, tamto, wszystko powiedzieć. / Cały ten szloch o skowyt ten cały / raz jeden jedyny uwolnić. / A powiedziałem tylko, że świetnie sobie radzi. / I że po kąpielii trzeba nam będzie już wracać. (Spotkanie z ojcem)

W zaproponowanej przeze mnie interpretacyjnej próbie niniejszego tryptyku, wyszarpanych z tomiku trzech kolejnych utworów, zauważymy, jak bohater dojrzewa do trudnych tematów związanych z rozrachunkiem z najbliższymi. Ale, co najważniejsze, a co niektórym czytelnikom podczas pospiesznej lektury może ujdść uwadze – bohater tychże opowieści nareszcie zyskuje własny głos. Przejstaje „być opowiadany”, a staje się „opowiadającym”. Jakiś trzecioosobowy „on” z pierwszych utworów, on – obcy sobie i światu, który go przyjął, lecz ów on – zbyt mały, aby być przezeń zauważonym, w części tej zyskuje swój głos. Staje się przy tym nie tylko uważnym obserwatorem rzeczywistości, lecz chłonie ją wszystkimi zmysłami, uczestniczy w niej oraz nabiera do najbliższego mu świata dystansu poprzez ironię: „Czasami taka bliskość wystarcza / żeby z daleka się omijać”.

Tryptyk z Miriam B. (która może być ukochaną kobietą lub Matką Boską, jak sugeruje w ciekawym posłowie Joanna Krenz), to kolejna próba nawiązania zerwanego dialogu. Lecz tamten świat już dawno temu umarł, więc nie dziwi nas obietnica Miriam dana bohaterowi, że spotkać się będą mogli dopiero w niebie prawdziwie. Czyli dotąd było tylko udawanie? Bezsensowne szarpanie się, tłuczenie, rozrzedzanie? Mielenie wargami, rozpadanie w pył czy raczej w nieme znaki zapytania: dlaczego?

I w końcu hymn uwielbienia dla Tego, który Istnieje. Tego, który „dotknął zawiązków warg moich” i „więzy mojego języka (...) wcześniej związałeś, / żeby je teraz oto samemu porozwiązywać”. Wzruszy nas zapewne pochwała Transcendencji oraz niemoc okazania Najwyższemu wierszem dla Niego uwielbienia. Nawet język w naszym świecie jest ograniczony. Nie może być zatem prawdziwy ani wolny. Bywa za to zbyt często rozszczepiony, gadzi, czarci. Cudzą śliną wypluwa z nas myśli. Dlatego obraz Tego, którego uwielbienia próbe

podejmuje, zaślepią przez stulecia podejmowany wysiłek odczarowania Go z Istnienia.

Następne dwa utwory (*Król Frygii, Widzenie*) to już bardzo dojrzały etap w duchowej przeprawie pokierowanego żywota naszego bohatera. On już nie tylko zyskał wiedzę, że świat jest obcy, bo niepojęty, ale również niewyraźny. A teraz, o zgrozo, dochodzą kolejne oddalenia: poprzez „Midasowy dar” – zamieniania życia swojego i czyjegoś w „widma zdań”, a tym samym odbierania im życia. Nie zdziwi nas więc następstwo tego „daru” – w zasadzie *Widzenie* to jego konsekwencja. Nie może być więc już prawdziwej Basi. Ona stała się powidokiem, marzeniem, wspomnieniem wypalającym na ciele stygmaty (nie)obecności. Będziemy zatem świadkami czyjegoś życia, które zamieniło się w zimny kamień. Lecz by od tego nie oszaleć, wybrzmia gdzieś spoza doświadczanego czasu, losu i życia słowa konsolacji. I przebaczenia.

Ostatnie dwa rozpisane narratorsko utwory traktuję jako wyzwanie. Gdy już się mniej więcej wie, kim się jest, gdy dostało się rozgrzeszenia za grzechy swojego świata, gdy tak bardzo się wierzy, że po śmierci istnieć będzie się dalej, następuje „próba ognia”. Poeta zostaje najpierw kuszony przez diabła Zoilosa, a potem przez Boga w „Hiobowym cierpieniu”. Czy przejdzie przez te doświadczenia zwycięsko – okaże się po przeczytaniu obu traktatów.

Bardzo ucieszyła mnie ta perykopa. Eseistyczna próba roztrząsania filozoficzno-teologicznego problemu: *undemalum?* Porażająca tajemnica cierpienia i szukania dla niego jakichś niepodważalnych racji. W moim przekonaniu racją dla niego staje się tytułowy utwór, który zamyka wieko niniejszego tomiku. Wołanie dokonuje się z Czyśćca. W takim zatem ujęciu wszyscy jesteśmy trupami. Przed nami zatem Wielka Kraina Pucu i nasz prywatny świat jeszcze do ocalenia.

Wojciech Grupiński, „*Wołania z Krainy Pucu*”, Wydawnictwo Font, Poznań 2024.

Vojislav Karanović

Poezja jest tworzona

Ludzie, którzy przez całą wieczność
Nie widzieli się, teraz,
Wyraźnie podekscytowani,

Cieszy ich
Że spotkali się ponownie
Znaleźli w jednym miejscu,

Ludzie tak bliscy sobie, że
Nie muszą mówić,
Aby się rozumieć -

Ponieważ czują siebie nawzajem
Nawet gdy są rozdzieleni -
Ci ludzie są podobni do wiersza

Podczas tworzenia. Nieoczekiwane spotkanie
A słowa wierszy zapierają dech w piersiach,
W niemym uścisku.

Obraz

Jak zdeptana żaba na rozżarzonym asfalcie,
Tak, akurat tak się poczułem
Gdy spojrzełaś na mnie
Tym ciemnozłotym oczami,
Oczami
Jakie prawdopodobnie miała nawet ta żaba.

I teraz, gdy kochamy się,
Gdy się włączymy,
I ja wchodzę w ciebie,
(teren podmokły)
I puls mój jest przyspieszony
(strzela jak z serii)
Ten obraz mnie nie opuszcza.

Przeskakuje po mojej świadomości,
Tak jakby była żywa.

Poezja powstaje

Poetą jest ten,
Który pisze list
Na adres nieistniejącej osoby,
Która mieszka w nieistniejącym mieście
Nieistniejącego kraju.

Treść listu jest krótka:
„Každy wiersz powstaje
niejako pośmiertnie”.

Poetą jest ten,
Który gorączkowo czeka na odpowiedź
Mimo tego, iż wie, że ją otrzyma.

Scena

Dziewczynka kroczy przez
łąkę, ledwo dotykając
Ziemi. Drży
Kwiat, a jego korona
Barwą przypomina niebo.
Nad jej głową anioł
Zatrzepocze skrzydłem.
Po jego ciele
Przesuwają się chmury.
Nie, on nigdy nie zrezygnuje,
Ale wie, że musi. I ta
Świadomość sprawia, że ta
Scena powoli nabiera grozy.

Przekład: Olga Lalić-Krowicka

Vojislav Karanović – ur. 1 stycznia 1961 r. w Suboticy, Serbia. Ukończył literaturę jugosłowiańską i ogólną na Wydziale Filozoficznym w Nowym Sadzie. Pisze wiersze, eseje i słuchowiska radiowe. Pracuje jako redaktor w Radiu i Telewizji Serbii (RTS). Mieszka w Belgradzie.

Stefan Pastuszewski

Oda do porannej godziny

nie zawiedziesz mnie na pokuszenie lamentu
na ważenie zbywania i trwania –
czego więcej
nie będziesz klawiaturą wron na śniegu
ani tunelem bez światła
poezjo moja,
wieczna wiosno
nawet gdy ręka już nie trzyma długopisu
i myśl się nie składa
a raczej się nie chce

ty, takie zachwycone spojrzenie
i gniew nieuśmierzony
słowo bez słów
ale nie milczenie
poranna godzino
ze wszystkich godzin najważniejsza
zawsze kobieto

Andrzej Dębowski

Wierność

Nie zmieniam ścieżki, choć ziemia
przesuwa się pod stopami.
Ideał nie jest sztandarem,
lecz cieniem drzewa,
które rośnie, zanim mnie wymyślono.

Świat pyta o cenę,
a ja odpowiadam milczeniem,
bo wiem, że prawda nie handluje
ani czasem, ani słowem.

Być wiernym – to raczej
nie dotykać nici,
która łączy mnie z tym,
co zawsze było obecne,
choć bez imienia.

Nawet gdy wszystko odpływa,

ona trwa – jak źródło,
które nie potrzebuje świadków,
aby płynąć.

Stanisław Chyczyński

Dwa kamyki do ogrodu pamięci

Stefanowi Pastuszewskiemu

Generał. Czarne okulary, łysina,
zasznurowane usta (na szkle
telewizora „Rubin”). Niedzielny
kopny śnieg, dużo śniegu
po drodze do kościoła. W objęciach
mrozu SKOT-y i patrole z kałachami.
W kopalni „Wujek” barykada, śruby
i mutry, pręty i łańcuchy. Dużo krwi...
W przejściu podziemnym hasło
„Orła wrona nie pokona”.

Po czterdziestu latach:
Na ścianie fary koślawy napis
„Czarni do gazu!” Tęczowa manifa.
Drażniątka – bardziej niż w wierszu S.G.
Ćwieki, łańcuchy. Pocięte porcięta.
(Na lśniącej tafli LG:) Wargi
ze śrubkami i kolczyk w nosie,
czerwona grzywa i szyja w
granatowej kryzie tatuażu.
Wolność w różowych okularach.
(Nauczycielka).

Krzysztof Szymoniak

Przed nocą... hymn...

Piękny ten hymn co słowa w nim przed nocą
Pięknie z języka na język Ptica przełożyła.
Prawdy z tej pieśni w sercu załopocą,
Słowa w niej prawdziwe, a w prawdziwe
jest siła.

Rozumiem cię Ptaku, Ptaszyno, moja żono,
Sam przecież nie jestem bez grzechu i winy.
Chcę iść z kimś takim, bo win nie zważono,
A mój świat bez Ciebie – martwe połoniny.

Styl młodych i starych nie jest nam
potrzebny,
Mamy swój dekalog, styl i garść aniołów.
Ty jesteś młoda, ja już nieco zgrzebny,
Jednak to miłość nas razem zaprasza do sto

Maciej D. Woźniak

Dźwiganie świata

O poezji Krzysztofa Kuczkowskiego

Dokończenie z poprzedniego numeru

Kryzys literatury i jej pozycji w światowej kulturze (co do którego niestety słuszność ma Adrian Gień) nie przekreśla zatem celowości historycznoliterackich i krytycznoliterackich dociekań. Są one bowiem poszukiwaniem sensu, w czym podążają za poszukiwaniem rozpoczętym przez poetę – a cel ten jest ważny sam w sobie. Co więcej, interpretacje dzieł poetyckich są o tyle potrzebne, że zwiększają naszą szansę na wyjście naprzeciw kryzysowi kultury, nawet jeżeli jest to jedynie kropla w morzu potrzeb. I to jest druga odpowiedź na pytanie o zasadność zajmowania się poezją wobec trudnej kondycji literatury.

Trzeba więc pisać o literaturze, by z jednej strony podejmować ów trud dźwigania świata wspólnie z autorami opisywanych dzieł poetyckich, a z drugiej – by pokazywać innym, jak spotkanie z utworem literackim może ubogacać, rozwijać świat wewnętrzny. Ale też jak wielka przyjemność płynie z kontaktu z tekstem, nawet jeżeli bywa, iż jego tworzenie wiąże się – jak zauważał Roland Barthes – tyleż z przyjemnością, co z cierpieniem. Spotkanie z tekstem to, przypomnijmy, spotkanie z myślą, wnikanie w strukturę słowa i odkrywanie jego tajemnicy. Tajemnicy, która rodzi się z konfrontacji chęci wypowiedzenia, ogarnięcia świata i braków języka jako narzędzia służącego do jego opisu. Jak stwierdził Stanisław Barańczak w *Tablicy z Macondo*, „poezja zaczyna się tam, gdzie chęć wypowiedzi zderza się z ograniczeniem”. Słowa te to komentarz do przytoczonej w eseju anegdoty dotyczącej pewnego samochodu dostrzeżonego przez poetę podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych. Samochód ten miał tablicę rejestracyjną ze zmiennym napisem: „ON JEST”. Owych siedem liter umieszczonych na samochodowej rejestracji, kryjących głęboki sens w najkrótszej formie wymuszonej przepisami o dopuszczalnej liczbie znaków, Barańczak uznał za najprostszą i najbardziej fundamentalny przykład poetyki normatywnej. Oto czym jest poezja: niewymowną chęcią wypowiedzenia, potrzebą poszukiwania sensu i dźwigania świata, która napotyka na ograniczenie. To czyni ją niepodobną do jakiegokolwiek innego rodzaju sztuki. Właśnie dlatego pomimo wszelkich przeciwności warto o niej pisać. Dlatego też należy przedstawiać poetów wartych poznania – tych, których wiersze intrygują formą, których myśl zawarta w kolejnych wersach i strofach dodaje energii światu. Takim twórcą jest Krzysztof Kuczkowski.

Ścieżki Krzysztofa Kuczkowskiego

Pisząc o twórczości Krzysztofa Kuczkowskiego, staram się wskazać na różne obszary tematyczne, które można w niej dostrzec. Na odmienne przestrzenie, często związane z wykorzystywaniem toposów literackich, kulturowych, filozoficznych czy nawet religijnych. To właśnie tym poszczególnym aspektom poświęcone będą kolejne rozdziały niniejszego eseju.

Esej ten składa się z czterech części. W pierwszej – wprowadzającej, zatytułowanej

Poeta – znajdują się rozdziały dotyczące biografii Kuczkowskiego, recepcji poezji oraz jego własnych spostrzeżeń na temat literatury. Kolejne części poświęcone są różnym aspektom jego twórczości. Część Świat zawiera dwa rozdziały: dotyczący miejsca natury w poezji twórcy, a także poświęcony przestrzeniom rzeczywistym (miastom i miejscom bliskim pisarzowi) oraz konstytuowanym z nich literackim miejscom pamięci. Jednym słowem, jest to spojrzenie na miejsce świata materialnego w poezji Kuczkowskiego. Kolejna część, Kultura, dotyczy pozycji kultury w tej twórczości, refleksji poety na temat cywilizacji oraz jego gry z konwencjami literackimi. W tym kontekście pojawią się także rozróżnienia związane z dialogowością czy intertekstualnością, pomocne w określeniu statusu poezji Kuczkowskiego. Na tę część składają się cztery rozdziały. Dwa pierwsze odnoszą się do relacji wierszy Kuczkowskiego odpowiednio z kulturą wysoką oraz popkulturą. Dwa ostatnie to omówienia szczególnie interesujących w tym kontekście cykli poetyckich. Jeden rozdział dotyczy wierszy „anielskich”, których bohaterami są postaci ze świata literatury i kultury. Drugi, ostatni w tej części, poświęciłem cyklowi wierszy inspirowanych filmem Truposz Jima Jarmuscha. W ostatniej części eseju – Ponad – pochylam się natomiast nad tematami eschatologicznymi, religijnymi, a także nad duchowym i metafizycznym aspektem tej twórczości. Postawione zostają pytania o cel drogi poetyckiej Kuczkowskiego, o powołanie poety, które można odczytać z kart jego tomów poetyckich. Jeżeli można.

Naturalnie, w moim eseju nie ująłem wszystkich wierszy Krzysztofa Kuczkowskiego. Po pierwsze, z powodów wymienionych wyżej – celem tej książki nie jest stworzenie syntezy totalnej, lecz wskazanie najważniejszych aspektów dzieła autora i zainspirowanie czytelników oraz badaczy do zgłębiania tej twórczości. Po drugie, z powodów czysto pragmatycznych. Próba przeanalizowania i skodyfikowania wszystkich utworów, które ukazały się w kilkunastu tomach poetyckich sopockiego twórcy, skutkowałaby rozprawą nadmiernie rozległą. Wskazuję zatem na teksty najbardziej reprezentatywne dla omawianych sfer twórczości oraz na te szczególnie oryginalne i godne pokazania. Wiele z wierszy wspomnianych w poniższych refleksjach znalazło się ponadto w wyborze na końcu książki. Wierzę, że zawarte tu analizy i refleksje pozwolą wniknąć głębiej do świata poetyckiego Krzysztofa Kuczkowskiego. Że metafizyczna głębia i kulturowe zakorzenienie twórczości tego znakomitego poety, wydobyte na światło dzienne, zachęcą do jej bliższego poznania. Że wspomniane przez niego dźwiganie świata stanie się współudziałem niejednego czytelnika.

Maciej D. Woźniak, „Dźwiganie świata. O poezji Krzysztofa Kuczkowskiego”, *Wstęp do monografii, Instytut Książki, Kraków 2025.*

Andrzej Mularczyk

Żołnierz Don Kichota

(Fragment powieści)

Nic z tego, co nas dotyczy nie dzieje się do końca i nie rozwiązuje ostatecznie. Trwa raczej w tajemniczym porządku. Ta wielka moc i tajemnica otaczającego nas świata, ukryta jest przed oczyma i sercami człowieka. Uzbrojony w elektroniczne, dodatkowe oko, pozwalające mu widzieć nawet w nocy, i tak, porusza się po omacku jak jego przodkowie przed tysiącami lat, jednak. Poszukuje porządku, ale powraca do początku czyli chaosu. Musi się z nim zmierzyć, ugiąć przed nim kolana. Czasami wychodzi z tego zwycięsko. Ale jest to tylko jego osobiste odczucie, bo chaos powraca, pewnie dlatego, by człowiek nie był zbyt pewny przyszłości. Wie czym może być bóg, ale nim sam nigdy nie zostanie. Co najwyżej, któremuś ze zmarłych współbraci takiego imienia pozwoli dostąpić. Każdy znajduje swoje miejsce i wypełnia je ciałem, duszą i pragnieniami. Dostaje tyle samo, co daje. Daje tyle na ile ma ochotę. Jeżeli jest bogaty i niczego nie potrzebuje, nie daje niczego. Rozgląda się wokoło, co by tu jeszcze zagarnąć? Bo być piratem i grabić, to taka pierwsza zasada. Człowiek najpierw jest piratem, tygrysem lub innym krwiożerczym bratem i zwierzęciem.

Pragnie zatapiać kły w mięsie innego stworzenia. Karmić się krwią niewystudzonego jeszcze ciała. Połykać komórkę po komórce, wierząc, że przez zjedanie współplemieńca czy wroga, dociera się do jego duszy i wchodzi w nią, żeby stać się nim. Jednocząc się z inną istotą, łatwiej jest wejść na poziom Boga. W jakimś stopniu stanąć na tych samych schodach, które wiodą do wieczności. Ale najpierw musi zacząć się wojna. Stan bezustannej walki o wpływy. Strach przed istnieniem, strach, przed nieistnieniem. Strach w całej okazałości rozlewający się po ciele człowieka, po jego duszy i po tęsknotach, i wyobrażeniach.

Są tylko rzeczy sprawdzone. Nie ma rzeczy teoretycznych. Wszystkiego każdy z nas pragnie dotknąć tym niezniszczalnym palcem Niewiernego Tomasza. Wszyscy jesteśmy niewierni. Tylko mizdrzymy się przed lustrem i okłamujemy sami siebie, że jest inaczej. Nie wierzymy nikomu. Nawet Bogu. A jemu to szczególnie. Musimy wywoływać wojny, żeby tym swoim tomaszowskim palcem dotknąć prawdy, a przynajmniej wyobrazić sobie czy ludzi się, że tej prawdy się dotyka.

To nie dziwi, że ludzie nie rozumieją ludzi. Przemieszczają się obok siebie. Idą w tym samym kierunku, albo w przeciwnym. Ale to tak, jakby szli ku sobie, człowiek zamknięty został w swoim ciele i otoczony fosą skóry, która go oplata dla wielkiej samotności. I z nią jak z wyświęconą Dulcyneą podąża marzeniami przed siebie. Marzenia są niedotykalne, ale wszystko inne tak, dlatego idzie oganiając się przed rojem podobnych stworzeń; mieczem, kopią i herbową tarczą, przed tajemnicami, które go atakują. Wokoło przecież trwa stan wojny. Jesteśmy dziećmi wojny, chociaż często kłamiemy twierdząc, że podążamy do pokoju. Chrzcimy swoje dzieci jego imieniem, nasza śmierć w większości przypadków, podczas ostatniego

namaszczenia dostaje takie imię. I zanim nasze kości złożone zostaną na dwa metry w głąb wieczności, to piękne imię pokoju z wielu ust wydostanie się w gęstwinę powietrza. Powietrza, które ciężkie od tego imienia pozostanie ironią dla kogoś podglądającego ludzkość z ukrycia. I może tylko błędni rycerze, smutni, bo sami siebie do końca nie rozumiejący, podążać będą przed siebie i gubić się we wszystkim, o czym pomyślą? A nawet kiedy już wejdą na właściwą drogę, to znajdzie się taki czarownik, co poprzekręca im drogowskazy. Zamąci w głowach, że nigdy nie będą wiedzieć do końca, o co tak naprawdę kruszą kopie? Czy atakują, czy bronią się. Kto wrogiem, a kto przyjacielem?

Maria Balcer

Szaro-żółto-niebiesko

(jak podobno widzą koty)

Z mojej perspektywy wyglądasz imponująco: wielki, szary kształt na tle rozległej niebieskości z żółtą jaskrawą plamą. Mrużysz oczy, patrząc na słońce, otwierasz je szeroko, gdy ciemnieje niebo. Najbardziej odpowiada ci szarość, lubisz jej odcienie. Pochłaniają cię bez reszty szare rzeczy, szare miejsca, szare sprawy. Potrafisz zapatrzyć się na to, co w nich widzisz; czasem nazywasz to feerią barw. Zafascynowany odcieniami i odgłosami, nie zwracasz uwagi na niuanse. Tracisz czujność, jesteś rozproszony. A gdyby tak przyszło ci polować? Czy potrafiłbyś się skupić na celu? Trwać nieruchomo, skoncentrowany? Zareagować błyskawicznie? Zerwać się do skoku? Może gdybyś umiał regenerować siły w półuśpieniu, wyłączając się na niepotrzebne bodźce, byłbyś zwycięzcą? Gdybyś wiedział że ciągłe używanie zębów i pazurów jest przyczyną stępienia, oszczędzałbyś je na wyjątkowe, potrzebne okazje. Przydałby ci się mądry odpoczynek i rozsądna dieta. Czasem trochę dzikiej włóczędzy. Dużo żółtego i niebieskiego – w naturze pełnej różnych rodzajów ciszy. Bo tkwienie w twojej bezpiecznej, szarej rzeczywistości rozleniwia cię, szary człowieku. Szare odcienie pochłaniają twoje zmysły i siły. Więc gdybyś choć raz, przez chwilę, poczuł i zobaczył szaro-żółto-niebieski świat z mojej perspektywy, może potrafiłbyś spadać, jak ja, na cztery łapy.



Małgorzata Łyssowska-Szczęsna

* * *

Mirce Poncyliusz

Zdarzyłaś się między nami
w nielogicznym nieprawdopodobnym świecie
i poniosły Cię z kart wiersza
„Konie z błękitnym wiatrem w grzywach”
w nieznanym przestrzenie
Krążyłaś...
krążysz jedyna w swoim rodzaju

Katarzyna Michalewska

Fordanserka

- Kiedyś, kochana, to były kelnerki. Pani Dumka ma kilka (równie nieprawdopodobnych) dat urodzenia, a ciało i duszę przedwojennej fordanserki. Rozgląda się, mrużąc oczy, po obitej tandetnym adamaszkim kawiarnianej sali.

- Kelnerki i cizie, ma się rozumieć, nie to co teraz, dupiaste, bez wdzięku - powtarza walcząc z gałką czekoladowych lodów, dzieloną sprawiedliwie pomiędzy kawiarniany dywan i wytartą wzorzystą spódnicę. Raz po raz dolewa sobie taniego wina z zielonej butelki, kołyszącej się na wodach zmiętego obrusa.

- Pamiętam, przed wojną - wspomina Pani Dumka, szumiąc jak zdezelowany projektor filmowy. Pamiętam - powtarza z papierosem przyklejonym do warg, z oczami utkwionymi "na podniesienie" w jaskrawym kinkiecie.

- Pamiętam - kończy, kołysząc się na boki, niczym dziurawa łódź, pociągając niecierpliwie, zachłannie-prosto ze szkła.

- Eeee, co tam - bełkoce - postaw lalka następną, to ci powiem jak było...

Poprzestajemy na różowym, musującym płynie, ochrzczonego uzurpatorskim mianem szampana „Via Rosa”. Pani Dumka z lubością podnosi kieliszek pod światło, szepcząc do siebie coś, co przypomina rozmazane na szybie róże.

Słychać pierwsze krople deszczu uderzające o szyby. Roześmiane parki zakochanych szukają pod ogródkowymi parasolami schronienia przed ulewą. Pani Dumce zaczynają trząść się ręce, więc wylane wino spija wprost ze spodka, śmiejąc się prowokacyjnie do młodych mężczyzn przy barze. Krople różowego napoju pozostają na czerwonych wargach i koronkowej zszarzałej bluzce. Ściera je niezgrabnie wierzchem dłoni, machając bezradnie ręką.

- Aaa, nie te lata. Kiedyś się piło... lepsze. W Berlinie byłam... i w Paryżu - jej głos załamuje się na chwilę, jakby poślizgnęła się na schodach - z ojczulkiem podróżowała. Kawał był z niego drania, swoją drogą, mamuszkę moją rzucił dla...aaa...nieważne.

Zamilkła, pociągając duszkiem szampana, który dawno już sprzedał duszę wodzie sodowej. Po chwili, jakby zbudzona z głębokiego snu przygląda mi się uważnie, podejrzliwie.

- A ty, męża masz? -
pyta, nie czekając na odpowiedź. - Nie! To jesteś frajerka. Samotna kobieta daleko nie zajdzie. Przepadnie. Albo - uśmiecha się chytrze do własnych myśli - zrobi się z niej ważna baba, co to he, he, przy kieliszku grzebie innym w ich zafajdanym życiorysie...

Oko Pani Dumki zaczyna drgać złowrogo, po chwili beka jednak pojednawczo i głosem coraz bardziej bełkotliwym przepływa na drugi brzeg w szuwały poplątanych myśli.

- Zaraz po wojnie, jak żyłam z jednym takim gachem, to jeszcze byłam kobita na fleku. Wiesz, taka, za którą panowie dużo płacili - perły, samochody. Nic za darmo. Na tym świecie nic nie jest za darmo - wstaje uderzając ręką w stół. A biżuterii to miałam o tyyleee - rozrzuca teatralnie ręce gestem tonącej.

Stoliki wokół pustoszeją. Jacyś obcokrajowcy składający parasole przy szatni uśmiechają się do siebie porozumiewawczo wskazując głową na coraz głośniejszą monologującą kobietę.

- Ale potem - ciągnie niezrażona Pani Dumka - zaczęły się kłopoty, od tej kryminalnej sprawy z Białym - mówi coraz głośniejszą, nakręcając się własną opowieścią. Łyzeczka z brzękiem wypada jej z ust, płosząc rodzinne stadko przy bilardzie.

- Nie wiesz, rybka? To, po co ci były te twoje, no... kuplety - kiwa z politowaniem głową - na prasy łamach o tej aferze pisali. Mój niby mąż, truteń jeden, cinkciarz, mnie wrobił w fałszywe bony. I taki znany przystojny, kulturalny mecenas mnie wybronił. I nawet n i c za to...no...wiesz...tego nie chciał, chociaż wszystko jeszcze wtedy miałam na miejscu. I do tej pory nie wiem dlaczego, a człowiek chciałby wiedzieć. No nieeee!!!!?? Nieee!!!!?? - krzyczy coraz głośniejszą - już na dobre pogubiona w lesie myśli, słów, gestów. Potrąca cukiernicę, potem kieliszki, które rozpryskują się niczym noworoczne confetti.

-To nic, głupstwo - krzyczy zaperzona - mogę za to wszystko zapłacić.

Otwarta portmonetka - bezwstydnie mrugające z wnętrza jednogroszówki - choinkowe lampki Alladyna. Gest zażenowania: „Niech pani schowa. Nie trzeba”.

- Ach tak. Dobrze. Dziękuję... więc co to ja chciałam... więc jak ja sobie o tamtym pomyślę... tak, tak, nie ma nic za darmo na tym zakichanym świecie - to coś mnie trafia tu w środku (uderza się w piersi) - o tak!

Kopie pozostałości kieliszka, aż resztki szkła rozpryskują się po sali.

- Muszę sobie jakoś ulżyć- szepce z przepraszającym uśmiechem niegrzecznej dziewczynki - czymś mocniejszym - jej głos jest niski i charczący - kup mi, lalka wódkę.

Odmawiam. Pani Dumka wstaje gwałtownie, jakby ubył jej lat i...rzuca we mnie portmonetką z drobniakami, które rozsypują się przy wtórze przekleństw.

Zaniepokojone kelnerki wyrastają jak spod ziemi. Barmanka podnosi słuchawkę. Grozi policją. Na dworze deszcz przestał padać. W kawiarni robi się pusto i ciemno.

Wychodzę pospiesznie z lokalu, słysząc jak Królowa Przedwojennych Tancbud, siłując się z kelnerkami, pomstuje pod nosem:

- A to cipa ciężka, co to sobie myśli, że może kupić t a k i życiorys za dwa gówniane wina!

Kalina Izabela Ziola

Na obrzeżach świata

na obrzeżach świata
kwitną czułe słowa
i długie wieczorne rozmowy

tam rano wstaje bardzo późno
a słońce zachodzi
z lekkim rumieńcem na twarzy

na obrzeżach świata
czają się smutne szare godziny
o pustych oczach
telefon milczy z bladym uśmiechem
a maile wracają bez odpowiedzi

tam ciągle pada deszcz

na obrzeżach twojego świata
za cienką niewidzialną zasłoną
jestem ja

Anna Elżbieta Zalewska

* * *

Powietrze
unoszą się nad miastem
wiatr bawi się chmurami
granatowe niebo
zapowiada burzę
deszcz gwałtownie
z gradem
uderza o szyby
oddycha ziemia
Czekam na wiosnę
wiosenny powiew
ukryty w drzewach
we włosach dziewczyn



Sławomira Sobkowska-
Marczyńska

Kolorowa szarość

są białe noce
którym brakuje snu
i białe welony
nie dające pewności

są czarne myśli
które pchają
w przyszłość jak w przepaść
i czarne buty na ostatnią drogę

jest też
czerwona róża
wspominająca do bólu
tamte chwile

i zielona trawa
po której biegało się
boso

Stefania Pruszyńska

Tak cicho...

tak cicho pęka nic
światło odchodzi
błądzi sen
cienie łzawią
drży pamięć
puls natury pilnuje
goryczy powietrza
i obnażenia drzew

gasną chryzantemy
i spóźnione preludia
melancholią zarasta
echo dni i nocy

tylko motyle jesieni
nadal furkoczą
na skrawku żagla

nieulękle tęsknoty

Róża Berkano

* * *

Rozum zasnął jak pijak na ławce
w parku blisko stawu
zmarzył i dygotał
nad samiotkim ranem
kiedy przyszłam
było cicho
owinęłam go swym ciałem
zabrałam do domu
kwiaty zakwitły w wazonie.

Marek Bocian

Po co komu

Po co komu babcia
Śpiewała nuciła mi do ucha
Co za przemiłą nutę w chłodzie serca
zostawiła
- Ty rachawo chamańska - wygrażała lachą
Karmiła nas pijanymi wiśniami
rzygałem z wysokiego piętra

Rano sikała do nocnika
Kiedy jej 80 lat wreszcie odejdzie
Gruba kulawa śpiewała zdrowaśki
- Ave ave zdrowaś Maryja
To wtedy było gdy po nas skakały
te same pchły z naszego sennika

Umarła wieczorem Zasłonili lustra
Uśmiechała się jak wtedy gdy dawała
cukierka

Teraz biegnę po lesie wstęga rzeki
ciągnie się za mną tamta nuta
głaskanie w sercu
/dużo jak na jednego łobuza/
Miła drobina bez słowa
gdy usypiam litery

Paweł Kuszczynski

Zapowiedź

Wyuczona gawiedz nie chce służyć wołania.
Znaleźć się musi sprawiedliwy
i wskaże miejsca,
w których szlachetność
z powrotem będzie panować.
Nie zgubi się zapowiedź -
zostaliśmy wyrzezani przez Boga.
Jutro przyjdzie na pewno:
chronić siebie, własne myśli,
przychylnie patrzeć na bliźniego,
nie próbować odwracać głowy od niego.
Zanadto nie przywiązywać się
do gubionego życia.
Trzeba odwagi, by pozostać człowiekiem:
w doskwierającym czasie,
przetraconej rzeczywistości,
wojującym relatywizmie.
Pozostaje trwać w mądrości dobra.

Sławomir Krzyśka

Po ostatnim akcie

Kiedy ciebie i mnie,
zaprosi do tańca
ponura pani, ta, która
jeszcze wczoraj tańczyła
z Hypnosem.

Ubrana w suknię z cieni,
dotknie ramion jak chłodny wiatr.
Nie pytaj, nie dziw się, nie wzbraniaj,
bo każda nuta zna krok
i podłoga drży od wspomnień.

A gdy już zbliżysz się do miejsca,
gdzie cisza tańczy sama,
usłyszysz głosy sprzed lat,
ciche jak szept kurtyny,
co opada po ostatnim akcie.

Potem już tylko bezruch, cisza,
brak światła, muzyki, tchu,
i choć w powietrzu
wciąż unosi się rytm,
nie tańczy już nikt.

Radosław Marcin Bartz

ogłoszenie Pana Arendta

wynajmę pokój niewielki metraż
kuchnia łazienka przytulne
stary dębowy stół szafa gdańska
tapczan z lat osiemdziesiątych

wiecznie zielone trzy kwiaty
uchowały się po poprzednim wynajmującym
małe okno w przedsionku
migotanie gwiazd

niski czynsz brak współlokatorów
zwierzęta mile widziane
dobra komunikacja
pięć minut piechotą do płuc miasta

wynajmę pokój
niewielki metraż
więcej przestrzeni w sercu mi nie zostało
po ostatnim lokatorze

Teresa Tomsia

Z uważnością, w pokorze trwania

Bohaterem tomu wierszy Jakuba Pacześniaka „Plaster jasnej przestrzeni” (2025) jest człowiek, którego interesuje wszelkie istnienie dokonujące się w ukryciu, w podziemnych korytarzach korzeni. Obserwuje, co dzieje się dookoła, nie siedzi na tarasie domu beczynnym czy obojętnym wobec widoków wokół, lecz dostrzega, że „pod korą żyje świat”. Gdy podchodzi do drzewa, czuje tajemnicę osobności i własną znikomość wobec wielowiekowego trwania – wtedy ma „nogi z liści”, zatem kruchość ludzkiego istnienia poeta ukazuje na wiele sposobów – jako wspólną obecność, w opisie, w epifanii, w cielesnym utożsamieniu się z drzewem, w wyciszonym zadziwieniu, pragnie być w łączności z pejzażem, jaki go otacza i „*czepać z rzek pełnymi garściami*”: „*góry rzędami zawisają / pod niebem jaśniejącym // są głosem / cichej świętości / szeptem modlitewnym / popękanych skalnych ciał*” (ziemia przyjmuje); „*zwołuję was sosny / ramiona okna / ku wam otwieram // bądźcie mi światłem / krzykiem w głąb siebie / jeśli trzeba // niebem przychylnym / albo zwyczajnie / opłatkami drzewa*” (sosny moje)

„Tom Jakuba Pacześniaka można czytać jako medytację nad bytem drzewa, które staje się metaforą wszelkiego istnienia, a na pewno wyzwaniem dla naszej niestałości” – pisze Adrian Gleń w „Toposie” 5/2025, zachęcając do lektury wierszy poety pracującego w Krakowie w Instytucie książki, a z wyboru i umiłowania przyrody egzystującego poza miastem. Podkreślić warto skupienie, z jakim autor ogląda świat i opisuje dyskretną w nim obecność. Z uważnością i w pokorze trwania porusza się wśród cudów natury, gdy szum gałęzi koi traumy, a żywica leczy skaleczenia. O życiu powiada, że „*to jest wiara / dla potrzebujących / w wiatr deszcz / i słońce // to są koleje / splątane / drogi / nieprzetarte*” (to jest życie) – z tego miejsca człowiek „*woła na wskroś*” ku Stwórcy, że jest stąd, z tego świata – *oddycha, patrzy, kocha, przemija, a też „zawsząd / patrzeć / zdziwienie” przybywa (wychodzisz nocą).*

Szczególnie porusza wiersz „wymierzony w niebo” – jest w nim wspomnienie chwil z dzieciństwa, gdy autor spędzał czas z ojcem nad rzeką, która objawia się tu jako nurt czasu ponad czasami – obaj błądzą wśród motyli, zważając, by ich nie potrącić, szukają ścieżki ku brzegowi. Poeta próbuje zawrócić bieg czasu przywołaniem tamtego dnia w metaforze „wody wiecznej”:

tak jak wtedy / tato gdy chodziliśmy / nad zalew // gdzie brzegi / motyli pełne // a my gotowi / przeskakować / ostrożnie // z jednej nogi / na drugą / w stronę / krawędzi // wody wiecznej

Czytelnik wsłuchuje się z ciekawością w wyważony, czuły rytm opowieści, wstrzymując na moment oddech, by nie zakłócić ciszy w akcie zachwyty współlistnieniem. Nurt Wisłoka niesie wieść o życiu pokoleń, jakie wychowały się nad

brzegami rzeki, gdzie „*splywał z nieba / strumień miodowego / światła*” (łąki kwietne). Jeśli człowiek zna swoje ograniczenia w postrzeganiu i rozumieniu natury – zauważa poeta – wtedy darzy szacunkiem każdą żywą istotę, najmniejsze stworzenie, zjawiska ulotne, najcichszy powiew, nazywając wszelkie doznania dnia powszedniego „plastrem jasnej przestrzeni”, jakby to był lek na smutek oddalenia się od pierwotnego źródła. Wiersze Pacześniaka ujmują czytelnika subtelną strof przejrzystych, ascetycznych, jakimi opowiada świat – poeta stara się ochronić w mowie jego tajemniczą pajęczą strukturę niedostępną dla człowieka, a tak pociągającą nieodkrytym pięknem.

Jakub Pacześniak, „Plaster jasnej przestrzeni”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025.

Alicja M. Kubiak

Spomiędzy kart historii

W długich rytmach świat śle mi swoje westchnienie i ofiarowuje obojętność i spokój tego, co nie umiera.

Albert Camus „Pomiędzy tak i nie”

Książka Sławomira Rogowskiego *Za tamtymi drzwiami* otwiera przed czytelnikiem świat, o którym pamięć z wolna odchodzi w ciszy. Poprzez głosy tych, którzy pamiętają o życiu z okresu drugiej wojny światowej, snują się opowiadania przedstawiające losy bohaterów w dziejach tak odległych dzisiejszym młodym pokoleniom, że aż niemożliwe, by w pełni je zrozumieć. Słowa *Za tamtymi drzwiami* – na co wskazuje tytuł książki, mówią o pewnym zamkniętym czasie. Od nas zależy, czy będziemy chcieli je otworzyć i poznać historie z przeszłości.

Przez karty opowieści przewijają się losy ludzi doświadczonych tragicznymi wydarzeniami historycznymi. Okres wojenny naznaczył Polaków traumami, których nie można w prosty sposób przełożyć. Autor podjął się trudnego zadania ukazania zdarzeń w koncepcji nieskomplikowanej i prawdziwej, bez zbędnej egzaltacji. To swoiste opowiadania, których fabuła wyłania się najczęściej ze wschodnich regionów, skąd wysiedlenia Polaków w głąb Rosji naznaczyły rodziny wieloletnią rozłąką. *Żurawinowy las*, bo właśnie to opowiadanie mam na myśli, przykuło moją uwagę. Bieg zdarzeń kilku rodzin jest obrazem tysięcy siłą wysiedlonych na Syberię.

W tym momencie przyszły mi na myśl wspomnienia węgrowskich Sybiraków, zebrane i wydane w zbiorze Zygmunta Strenczaka pt. *Sowieckie piekło*. Jan i Edward Herianowie mieszkali w województwie nowogrodzkim. Ich ojciec wyjechał z Wielkopolski na Krańce Wschodnie, aby tam kupić tańszą ziemię z parcelacji. Sukcesywnie powiększał gospodarstwo i w 1939 roku był w posiadaniu 40 ha ziemi, domu, licznego inwentarza, maszyn i urządzeń. Prawdopodobnie ich bogactwo, obok polskości, było powodem deportacji na Sybir. W opowiadaniu Rogowskiego cały proces toczył się płynnie w latach powojennych i skupiał na odległości i związanych z tym trudach transportu oraz przeżycia w ciężkich warunkach, aż do powrotu zesłańców na ziemię polskie.

W opowiadaniu *Hieronim* czytelnik zderza się z gwara, podobną do przytoczonej w pierwszym tomie *Księżstwa* Zbigniewa Masternaka, zatytułowanym *Chmurołap*. Życie prostych ludzi zostało ukazane na tle wielkich wydarzeń historycznych.

Ludzie przeżywają wojny i kataklizmy pomimo wielkiej polityki, która jest idealizowana. Trzeba przecież jakoś żyć dalej. Opowieści są chwilami smutne lub zabawne, jednocześnie emanują nostalgicznym nastrojem za światem, jego aurą, klimatem, którego nie sposób doświadczyć współcześnie. Ileż emocji wzbudzała kiedyś chociażby naprawa walca parowego, albo uruchomienie motocykla, którego odpalono po wielu latach bezczynnego zalegania w szopie.

Slawomir Rogowski, Za tamtymi drzwiami, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2024.

Stanisław Chyczyński

Biografia smutnego młodzieńca

Z postacią Stanisława Balińskiego, dla niektórych „jednego z najwybitniejszych poetów polskich XX w.”, spotkałem się po raz pierwszy w trakcie lektury książki Tadeusza Kępińskiego *Witold Gombrowicz i świat jego młodości* (1974). Nie zwróciłem specjalnej uwagi na emigracyjnego poetę i tak już zostało. Po roku 1989 zaczęło być o nim głośno (w pewnych kręgach), ale mnie to jakoś nie zachęciło do „bliskiego spotkania trzeciego stopnia”. No cóż...

Książka Wojciecha Wencła *Baliński. Smutny młodzieniec* (2023) zamyka jego trylogię o poetach emigracyjnych – wcześniejsze tomy to: *Wierzyński. Sens ponad klęską* (2020) i *Lechoń. Rycerz i faun* (2021). Podtytuł niniejszego tomu zapożyczono z wiersza *Smutny młodzieniec*, gdyż przez większość życia autor zbioru *Tamten brzeg nocy* (1943) cierpiał na melancholię, częstą przypadłość artystów, pisarzy i myślicieli.

Zarówno postać naszego poety, jak i jego twórczy dorobek wciąż znane są głównie historykom literatury czy krytykom literackim, wobec czego pozwolę sobie na maksymalnie krótką prezentację. Stanisław Baliński urodził się w 1898 r. w Warszawie, a zmarł w 1984 w Londynie. Wychował się w rodzinie warszawskiej, o korzeniach na Nowogródczyźnie. Genealogia Balińskich z Balina, h. Jastrzębiec, łączy ich ze znanymi familiami kresowymi: Jundziłów h. Wieniawa, Balewiczów h. Gozdawa i Śniadeckich h. Leliwa, ale też ze stołecznymi Chomętowskimi h. Lis. Warto dodać, że pradziadkiem autora *Ballad i pieśni emigranckich* (1947) był romantyczny poeta Antoni E. Odyniec, autor znanej *Pieśni filaretów*. Do przysiadł rodziny należeli m.in.: Aleksander Głowacki, Maria Konopnicka, Henryk Sienkiewicz czy młody Witold Gombrowicz. Po ukończeniu prywatnego gimnazjum, Baliński studiował prawo i polonistykę na UW, został też absolwentem Wyższej Szkoły Muzycznej. Debiutował w „Kurierze Polskim” (1922) jako poeta, ale związał się z miesieźnikiem „Skamander”, stale tworząc w kręgu koleżeńskich oddziaływań Iwaszkiewicz, Lechonia, Słonimskiego, Tuwima

czy Wierzyńskiego. Pracował jako dyplomata na placówkach w Brazylii, Iranie, Chinach i Danii. Po klęsce wrześniowej dostał się do Paryża, potem zaś do Londynu, gdzie został pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rządu RP na uchodźstwie. Pisał felietony do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” oraz redagował „Środę Literacką” (dodatek do tegoż).

Te wszystkie koligacyjne węzły, genealogiczne zawitości i towarzyskie meandry, tudzież przebieg światowych peregrynacji poety-dyplomaty pisarz z Matarni odnotowuje ze skrupulatnością godną podziwu. Niestety, ja w tym całym gąszczu danych i detali pogubiłem się pewnie 77 razy, co *notabene* nie jest zarzutem wobec autora. Lepiej skupić się na szczeblach kariery literackiej Balińskiego, w której momentem przełomowym było wydanie tomu poetyckiego *Wielka podróż* (1941). Sporym wzięciem wśród polskich emigrantów cieszyły się także tradycyjne i nostalgiczne *Trzy poematy o Warszawie* (1945). W dyplomacie szybko dostrzeżono mistrza poezji lirycznej, opartej na formalnej melodyjności (istotna rola rymów i rytarów) oraz plastyczności obrazów werbalnych, zdolnej generować wzruszenia tudzież reminiscencje o utraconej Ojczyźnie. Wszystko, co wydawał później (np. nowele *Talizmany i wróżby*, 1965) umacniało jego pozycję na literackim Parnasie. W polonijnym Londynie był postacią b. znaną, nazywano go „wajdelotą emigracji”, „spóźnionym romantykiem”, „ostatnim skamandrytą”, „poetyckim Canalettem Warszawy” etc. (por. rozdział *Epilog*). W felietonach, których opublikował grubo ponad tysiąc „z zasady chwalił klasykę, krytykował literaturę awangardową, malarstwo abstrakcyjne i teatr absurdu” (s. 188). (Brawo, już go lubię!). Dziwak, stary kawaler, tradycjonalista i konserwatyista, chociaż skądinąd – uosobienie szlachectwa.

W rozdziale *Pojedynek na miny* Wencel pisze: „Nie wszyscy wielbiciele Gombrowicza mają świadomość, że to Baliński jest autorem tytułu wydanego w 1933 roku zbioru opowiadań *Pamiętnik z okresu dojrzewania*”. Potem opisuje szorstkie koleżeństwo obydwu, chyba również zakompleksionych, gorliwie podkopując piedestał sławnego twórcy *Kosmosu*. Oto stawia arcyważną kwestię: „Czy Stanisław Baliński wykreował Witolda Gombrowicza jako pisarza?”. Dobre pytanie, a skoro odpowiedź wcale nie jest jednoznaczna, to możemy spokojnie pójść dalej. (*A propos* zob. również rozdziały: *Bunt Galkowiczów* i *Love – hate*).

Jak wiadomo, Gombrowicz był pupilem paryskiej „Kultury”, Baliński zaś nigdy nie wydrukował tam żadnego tekstu. Biograf ze szczególną mocą chwali ideową postawę bohatera, niezłomnego w sprzeciwie wobec czerwonego reżimu. Jednak Baliński pod koniec życia nawiązał bliski kontakt z polskim czytelnikiem: w stanie wojennym ukazał się obszerny wybór jego wierszy pt. *Peregrynacje* (PIW 1982). Podobno duży nakład rozszedł się w ciągu trzech dni. Niebagatelnym walorem niniejszej biografii są obszerne cytaty z dorobku poety, a nawet prezentacja całych jego utworów, jak np. poematu *Pożegnanie z Krzemieńcem 1939* (ss. 101-104). Zapewne wzbudzi to u wielu odbiorców silną chęć dotarcia do samych źródeł, zgodnie z ukrytym celem autora.

Wojciech Wencel, „Baliński. Smutny młodzieniec”, Instytut Literatury, Kraków 2023.

Andrzej Wilowski

Mefisto

27 stycznia 2006

István Szabó przyznał się publicznie do współpracy z węgierską policją polityczną w okresie komunizmu. Oświadczenie to wywołało szok. Reżyser otrzymał w 1981 roku nagrodę Oscara jako jedyny artysta węgierski za film „Mefisto”. Znany jest jeszcze z dwóch wybitnych obrazów - „Pułkownik Redl” i „Hanussen”

Wszystkie trzy filmy pokazują mechanizm działania systemów totalitarnych, gdzie jednostka się nie liczy, jest wkręcana w tryby historii. Jak w antycznych tragediach, nie ma dobrych rozwiązań, bohater nie ma wpływu na przebieg zdarzeń. Trzeba wybierać, ale zakres wyboru ogranicza się do form uległości, a żadna z nich nie zapewnia ocalenia.

Te trzy filmy Szabó uważam za jedno z najważniejszych w literaturze filmowej, jako dramaturga filmowego stawiam go w jednym rzędzie z Kazanem i Viscontim.

Kazan pod koniec kariery nakręcił „Ostatni wielki” będący swoistą ekspiacją artysty. W latach pięćdziesiątych donosił o rzekomych sympatiach komunistycznych kolegów z branży do słynnej komisji senatora McCarthy’ego, badającej przestępstwa przeciw Ameryce.

Szabó przeniósł na ekran dramat oficera armii Austro-Węgier, który chciał doprowadzić do perfekcji system inwigilacji wrogów Cesarstwa. Niestety sam wpadł w zastawioną misternie intrygę. Reżyser nie zamierzał naśladować pułkownika Redla, ale chciał rozegrać swoją grę z bezpieczeństwem. Dziś mówi, że jest dumny z tej życiowej roli.

Kiedy Szabó był studentem szkoły filmowej w Budapeszcie, zgłosił się do niego agent służb specjalnych z ofertą współpracy w wytropieniu ukrywających się na uczelni wrogów ustroju, w alternatywie był szantaż. Jeśli adept sztuki filmowej nie zgodzi się na współpracę, безпеka zmuszona będzie zadziałać na oślep, a wytypowanie ofiar zostanie przypisane jemu. Wtedy w głowie artysty miał powstać pomysł inscenizacji na miarę Goethego. Podpisać cyrograf? Owszem, ale po to, aby uspić czujność diabła. Udaremnić jego plan. Wiedział, że wielu kolegów było zaangażowanych w rewolucję 1956 roku. W 1957 dymiły jeszcze zgliszcza po pacyfikacji powstania.

Bezpieka szukała śladów prochu na rękach studentów, a w przypadku, kiedy udało się komuś udowodnić zbrojne wystąpienie przeciw komunistycznej władzy, taki człowiek po prostu zniknął. Bez sądu, bez wyroków likwidowano potencjalnych przeciwników. Taki los spotkał też wielu intelektualistów i działaczy partyjnych tylko sympatyzujących z powstańcami. Wielu Węgrów nie czekając na represje uciekło za granicę.

István Szabó konfabulował raporty dla bezpieczeństwa, które miały kolegom ocalić życie. Teraz powołuje się na świadectwo kolegi z roku, którego miał w ten sposób ocalić. Okres heroiczny minął. Reżyser bez przeszkód robił karierę. Współpraca nie ustała, nadal pisał raporty.

Może to kompleks Dostojewskiego, wszak „Gracz” jest swoistą spowiedzią pisarza. Czy historia pułkownika Redla była opowiedziana tak przejmująco, bo poparta osobistym doświadczeniem reżysera?

Poznaliśmy fakty, ale czy przybliżyła to nas do prawdy. W epoce komunistycznej jak w okresie romantyzmu artyści, a zwłaszcza pisarze i filmowcy byli „sumieniem narodu”. Przyglądała się im nie tylko władza, ale szukano u nich wzorów postaw. Jak ocalić godność w totalitaryzmie?

Literatura i film nie przekładają się w prosty sposób na życie. Czymś zupełnie różnym jest błyskotliwe i przejmujące opowiadanie historii „Mefista”, a czymś zupełnie odmiennym zagranie jego roli w życiu.

Stanisław Szwarc

Szafy Michała

Telefon od Michała był radosny i krótki.

- Już po przeprowadzce. Zapraszam na obławianie nowej chaty.

Ucieszyłem się, bo dotąd mieszkał tak daleko, że kontakt był tylko telefoniczny. Wreszcie będzie można spotkać się ze starym przyjacielem.

Serdeczne powitanie w drzwiach i już oprowadzał mnie po swoim całkiem sporym mieszkaniu. Trudno było nie chwalić pomysłowego urządzenia, czegoś mi jednak brakowało. Kiedy siedliśmy do kawy napotkałem pytające spojrzenie przyjaciela.

- No i...

- Super. Wiesz, długo mógłbym podziwiać itede, itepe, ale czegoś mi tu brak.

Michał uśmiechnął się tajemniczo i wcale nie był zaskoczony.

- No, dalej, dalej. Co ci tu nie gra?

- Taki z ciebie humanista, a gdzie masz szafę biblioteczną? Pamiętam z dawnych czasów, że gromadziłeś książki na potęgę.

- Czułem, że to powiesz. No to podnieś tyłek i chodź.

Poszedłem za nim. Że też nie zauważyłem, że oprowadzając pominął jedne drzwi. Teraz je otworzył.

- Proszę. I co powiesz?

Pokój był niewielki. Jakiś kwietnik pod oknem, niski stolik, stojąca lampa z ciepłym, żółtym abażurem, wygodny fotel. Ścian prawie nie było widać, zastawiały je potężne szafy biblioteczne. Od tamtych, dawnych czasów, które pamiętałem, księgozbiór zwiększył się chyba dwukrotnie.

- Przytulną czytelnię sobie urządziłeś.

- Nie tylko.

Przyjaciel miał poważną minę.

- Przed tobą nie mam tajemnic, ale po co wszyscy mają to widzieć. Książki odzwierciedlają swojego właściciela. Powiadają, że jesteś tym, co jesz, ale duchowo jesteś tym, co czytasz. Na zewnątrz pokazują ludziom taką część siebie, jaką chcą. Książki czynią człowieka przezroczystym.

Michał był wyjątkowo proslolinijnym i szczerym facetem. A jednak, chyba jak każdy, miał potrzebę zachowania takiego kącika swojego ja, który otwierał tylko najbliższemu.

Pewnie też nie do końca.

Francisci Rabelaesi alluisio

Patrum indignantum pueri ut sensere furorem
Accurrunt matrum protinus in gremium
Nimirum experti matrum dulcoris inesse
Plus gremiis, possit quam furor esse patrum.
Irato Ioue sic coelum ut migure uidebis,
Antiquae matris subfugito in gremium :
Antiquae gremium matris uinaria cella est,
Hac nihil attonitis tutius esse poetest.
/.../

Franciszka Rabelais'go fraszka

Dzieci, gdy rozgniewany ojciec srogo krzyczy,
Biegną natychmiast na swych matek łona,
Bo wiedzą one dobrze – w matczyńskich
ramionach,
Więcej, niż u ojca gniewu, jest słodyczy.
Tak też, gdy Jowisz niebo gniewem swym
zapali,
Ty na prastarej matki wróc się łona:
Ta matka zaś to z winem piwnica – to ona! –
Do dziś ponad nią schronu ludzie nie poznali.
Istotnie, chociaż Faros i szczyty gór rusza
Grom – chociaż w dęby wałą trójgłowe
pociski,
Beczuszki są w piwnicach, chronione
przed wszystkim,
A piorun z dala zwykł bić od Bromiusa.

Autorem przekładu jest Karol Wapniarski (ur. 2002) – doktorant na Wydziale Filozoficznym w King's College, University of Cambridge, absolwent filozofii i filologii klasycznej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Debiutował w „Protokole Kulturalnym” w 2023 roku, swoje przekłady literatury publikował m.in. na łamach „Wyspy”, „Akcentu”, „Akantu” czy „Zeszytów Poetyckich”. Od 2025 – członek Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury.

Paweł M. Wiśniewski

Człowiek jako niewinna jednostka postępu

Bartosz Sadulski - poeta, dziennikarz, stały współpracownik portalu informacyjnego Onet.pl oraz czasopisma internetowego "dwutygodnik", sekretarz redakcji kwartalnika "Herito" - w najnowszej książce poetyckiej pt: *mniej niż jedno zwierzę* rozlicza człowieka z jego makabrycznej i niszczącej natury. Toczony nad postawą ludzką swego rodzaju „sąd” przeradza się w impulsywną walkę wewnętrzną rozgrywającą się zarówno w łamach ludzkiego istnienia jak i w osobniku indywidualnym. Sadulski stawiając nam pytania o nasz wkład w rozwój cywilizacji jest wyjątkowo krytyczny i nie wierzy w poprawę człowieka, w poprawę istoty egzystencjalnej tak silnie przez nas uosabianej.

Nie tylko to jest wyjątkowe w poezji Sadulskiego. Autor potrafi w naturalny sposób łączyć

karykaturalną postać człowieka z postaciami zwierząt – upodabniającymi się do niego – albo to on upodabnia się do nich. Podmiot liryczny a zarazem narrator poszczególnych utworów niemilosiernie beszta ludzi za ich okrucieństwo, brak empatii, niepojętą żądzę niszczenia, podporządkowania wszystkiego sobie i tylko sobie. Nie kryjąc się ze swoimi animozjami wobec ludzi, ukazują naszą arogancję i pychę

Analizując beznadziejność sytuacji, w jakiej znalazła się ludzkość omamiona pieniądzem, sławą i głupotą Sadulski wyśmiewa jej zachowania, czyniąc to z niebywałą satyrą wręcz groteską. Wydawać by się mogło, że podobny rodzaj uprawianej poezji jest skazany na zatracenie, lecz nic bardziej mylnego. Postawa Sadulskiego, postawa podmiotu lirycznego, jest nakreślona dosadnie i nie pozostawia jakichkolwiek wątpliwości.

„mniej niż jedno zwierzę” jest odwzorowaniem wszelkich wad i przywar współczesnej ludzkości, zhańbionej pędem za teraźniejszością, nie zważającej na ewentualne konsekwencje. Świat w utworach Sadulskiego wykracza poza wyobrażenie przesiadującego przed ekranem komputera, ekranem smartfona i wysyłającego maile, SMS - y, czy przeglądającego portale społecznościowe. Ostrzeżenia nie wpływają na nikogo pozytywnie a wola większości zawsze jest ważniejsze niż wola mniejszości.

Czas płynie w wierszach Sadulskiego niezwykle powoli, lecz jest jak najbardziej teraźniejszy, gdyż poeta informuje w nich o zagadnieniach współcześnie trapiących ludzkość. Jednym z charakterystycznych tego objawów jest przywoływanie motywu arabskich szejków bądź chińskich biznesmenów wykupujących europejskie marki z wieloletnią tradycją. Nieograniczone środki pieniężne pochodzące z Zatoki Perskiej albo Państwa Środka przyczyniają się do niechybnego upadku obiektów zaufania kibiców piłkarskich, pracowników zakładów produkcyjnych czy całych państw podporządkowanych polityce petrodolarów (niezależnie od wiedzy czy niewiedzy).

Człowiek jako niewinna jednostka postępu jest według poezji Sadulskiego skazana na swój los. Powolne acz nieuniknione zatracanie się we własnej hegemonii przyczynia się do stanów depresyjnych, myśli samobójczych prowadzących niejednokrotnie do wojen. Ich skutki nie czynią nas wybitnie uzdolnionymi, co autor wielokrotnie podkreśla, ale czy nie jesteśmy jedyną inteligentną rasą we wszechświecie? Czy nie podejmujemy prób jego podboju? Czy nie dążymy do wynajdowania nowych i nowych wyzwań? A może to tylko iluzja: będąc w szklanej kuli tak naprawdę nie istniejemy, nie odczuwamy; smutku, cierpienia, radości, żalu? Więc co czeka po drugiej stronie, gdy przestąpimy próg śmierci? Czy okaże się wówczas, że nic tam nie ma, że wszystko w co wierzyliśmy jest kłamstwem? W *mniej niż jedno zwierzę* nie odnajdujemy żadnej odpowiedzi na postawione pytania.

Bartosz Sadulski: „mniej niż jedno zwierzę”, Dom Literatury w Łodzi – Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oddział w Łodzi.

Krzysztof Galas

Galaski wyrwane z mroku*poetyckie wizje niewidomego twórcy*

Galaski są kolorowymi obrazkami wyklejanymi z modeliny termoutwardzalnej na kartonowej powierzchni. Ze względu na kolorystykę mają oddziaływanie terapeutyczne. Obserwujący je ludzie zaczynają najczęściej z zaciekawieniem uśmiechać się.

Gdybym nie widział od urodzenia, to tego rodzaju twórczość byłaby czystą abstrakcją. Jednak przypadki ułożyły się tak, że w pierwszych latach mojego życia trochę widziałem, mimo wrodzonej zaśmy i jaskry. Doskonale rozróżniałem kolory przedmiotów, kiedy patrzyłem na nie z bliska. Później straciłem wzrok całkowicie, do tego stopnia, że zostałem pozbawiony nawet poczucia światła. Jednak kolory nie zatarły się w mojej pamięci. Znajomi często pytają mnie czy mam kolorowe sny. Odpowiadam, że oczywiście, ale w snach widzę jedynie to co pamiętam. Mój mózg nie jest w stanie wyprodukować czegoś, czego nigdy nie poznał.

Zajmuję się poezją i prozą. Razem z żoną śpiewamy poezję do skomponowanych przeze mnie melodii. Jestem organizatorem międzynarodowych konferencji, a także ogólnopolskich festiwali poetyckich na terenie całego kraju, jednak tego, że zacznę uzewnętrzniać wizje mojego świata kolorowym obrazem nie byłem w stanie przewidzieć. To urodziło się w mojej głowie i zaczęło żyć własnym życiem. Nie jestem utalentowany plastycznie i trudno mówić tu o jakiegokolwiek perfekcji wykonania, chociaż bardzo się staram. Mam swoje ograniczenia ze względu na brak wzroku i jest to rzecz bezdyskusyjna. Jednak te światy: osób widzących i niewidomych są zupełnie odmienne chociaż na co dzień się przenikają. Osoby, które kierują się głównie wzrokiem zwyczajnie nie są w stanie wyobrazić sobie rzeczywistości człowieka pozbawionego tego zmysłu. Stałem na głowie, żeby pokazać choćby namiastkę mojego wyobrażenia wszystkiego co mnie otacza.

W kompozycjach widać mowę kolorów. Przedstawiam je tak, jak je zapamiętałem. Moja żona Alina wiele razy pytała mnie jakie kolejne tabu zacznę przełamywać. Zawsze, kiedy tworzę coś nowego (wiersz, piosenkę, powieść obyczajową czy kryminalną albo galasek) dochodzi do przełamania jakiejś konwencji. Jednak w tym przypadku rzecz ma charakter niepowszedni.

Pragnę obdarować widzów obrazem zrodzonym w moim duchowym świecie. Nie można tam znaleźć szczegółów, które widząc mógłbym precyzyjnie odwzorować. Wszystkie galaski mają znaczenie symboliczne, co dobitnie podkreślają tytuły. Tytuł jest ważnym elementem, który wraz z kolorową kompozycją tworzy spójną całość, sugeruje oglądającemu, co niewidomy autor miał na myśli tworząc dzieło. Dodatkowo do każdego galaska dołączony jest wiersz będący inspiracją powstałego obrazu. Uzewnętrznienie poetyckich wizji w formie koloru i wzoru jest zapewne w skali kraju (i całkiem możliwe, że na świecie) absolutnym ewenementem.

Maria Kogut

Wesołe miasteczko

I znów ktoś włączył diabelski młyn
kręci się kręci się kręci karuzela
aż do zawrotu ego
kto odstrzeli więcej pluszaków
dla wybranki serca
tej okrutnej pani
która bierze do tańca
chłopców malowanych
porzucając na parkiecie
bezrękie i beznogie kadłuby
mieszkańców spalonej ziemi

Z gabinetu krzywych luster
dobiega chichot historii

Kludia Rogowicz

Pani Mariola

Pani Mariola ma pelargonie w kuchni,
wśród nich chowają się koty.
Gdy kipi zupa, ona rozmawia przez stary telefon,
obserwując zza okna całującą się parę.

Koty psocą, znowu stłukł się talerz
ale na stres zaparzy herbatę.
Wieczorem, Pani Mariola zasypia,
śniąc o kosmitach i spiskach władz świata,
nie boi się manipulacji, bo każdy kot
nad grozą czuwa.

Igor Frender

Oddech

Na ulicy pozostawiono śmierć pijaną
od szarego dymu spalin.

Skrzyżowanie.

Tramwaj zadzwonił niecierpliwie.

Ktoś włączył klakson.

Z okna bloku wyjrzała kobieta ubrana
na czarno.

To nie jest jej pora,
choć jej twarz mówi, że to już.
Prezentuję nowy garnitur na wystawie
sklepowej.

Z wyglądu nie jestem podobny do nikogo.
Po drugiej stronie moja ukochana wystawia
białą suknię.

Z wyglądu też nie jest podobna do nikogo
Żadne z nas nie musi oddychać.

Stanisław Szwarc

Pięćdziesiąta rocznica

Dzwonek telefonu. Co do cholery. Szósta rano!

- Stary, ratuj. Trzeba przymalować boga.
- Jakiego boga. Mów po ludzku.
- Przyjechał profesor Kalina. Jak zobaczył boga, to się wściekł. Mówi, że jak wieczorem pójdą na to światła reflektorów, to będą takie bliki, że w telewizji gównem będzie widać.

- Zaraz, po kolei. Jaki bóg?
- Gdzie ty żyjesz. Byłeś na placu? Poznańska „Solidarność” zażyczyła sobie, żeby na Krzyżach dodać słowa „O BOGA”. Tamten stary napis pokryła patyna, a te świecą jak psu jaja na wiosnę. Jak nie pomożesz, to brązową farbą zamaluję. W końcu chemik jesteś. Sprawa na już. Za kilka godzin uroczystości państwowe, potem przemobluję wszystko na mszę, po południu likwiduję ołtarz, a wieczorem widowisko. Cywa reżyseruje, muzyka Jan A.P. Kaczmarek, a Kalina robi scenografię. Wymyśl coś, Jesteś chemik.

- Daj mi kilka godzin czasu. Tak... do czternastej. Potem albo przyjadę z jakąś chemiczną zupą, albo przywiozę farbę i pędzel.

W paru słowach wyjaśniłem sprawę zaspanej żonie i wystartowałem w piżamie do komputera. Chemik, chemikiem, ale w głowie nie ma wszystkiego. Patynowanie mosiądzu... Jest. Wrzuciłem na siebie byle co, złapałem jakąś mosiężną popielniczkę do przetestowania, najgorszy z plecaków i do laboratorium. Portierka popatrzyła na mnie jak na wariata. Wolny dzień i do roboty? Nie miałem czasu na tłumaczenia. Na szczęście przepis wypalił. Popielniczka nabrała szlachetnej barwy. Ile litrów tego świństwa? Dwa? Trzy? Przełałem do butelek, zabrałem jeszcze gumowe rękawice do łokci i do domu.

- Stary, mam wszystko. Jak się umówimy?
- Bądź o szesnastej, od strony wieży Zamku. Ja podejść i przeprowadzę cię przez ochronę. Ciuchy weź jak najgorsze.

No to chwila odsapki. Organizator nieźle się wpakował w te obchody. Najpierw miał być tylko od wieczornego widowiska, potem go przekonali, że powinna być jedna głowa i stało się, że odpowiadał za całość obchodów. Najfajniejsza była wizyta w Kurii. Na zakończenie rozmowy ksiądz westchnął.

- Z Bożą pomocą jakoś damy radę.
- Księdzu to Bóg dopomaga, a ja sam muszę zapieprzać.

Nie ma co, pyskаты facet.

Na Placu Mickiewicza zwątpiłem. Scenograf wymyślił sobie, żeby Krzyże otaczał wysoki łań zboża, taki jak dawniej. No to na wysrołu wychodzili niskie zboże w korytkach, które ustawiono na trzech, czy czterech zbitych z desek stopniach otaczających pomnik. Efekt był niesamowity, ale...

- Chłopie, jak ja tam wejdę?
Zaprowadził mnie za Krzyże. W drewnianej konstrukcji stopni były przerwy. Wysokie tak na trzydzieści - czterdzieści centymetrów.

- Tędy. Nie ma to tamto. Czołgaj się. Tylko nie zerwij kabli od pirotechniki.

- Jakiej znowu pirotechniki?
- Na wieczorny spektakl. Będą efekty specjalne.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Udało mi się uniknąć Studium Wojskowego, a tu czołgałem się jak stary saper. Nr 96/2026

Pod Krzyżami było trochę miejsca. Jazda do roboty. Ciasno, duszno, smaruję boga, mój magiczny płyn ścieka i wysycha, bo upał jak diabli, smród wali w nos, a za tym zbożem żona stoi na placu i dyryguje.

- Jeszcze, jeszcze. Jeszcze się świeci. Teraz lewą stronę... Dobrze! Wychodź!

Dobrze jej mówić. Chyba pół godziny siedziałem w tych oparach. Jeszcze tylko czołganie z powrotem, przebiórka w domu i na plac Mickiewicza.

Czerwone reflektory na Krzyżach, przejmująca muzyka, za nami odgłosy strzałów, warkot silnika czołgu i ciary po plecach.

A bóg nie świeci!



Jan Wojciech Malik

Dziękuję za minutę

Dziękuję
za minutę ciszy,
za milczenie
jako poświęcenie.
Za wskazanie
na cierpienie
tych co odeszli
w huku wybuchów,
w trzasku kości,
w trwodze o swoich
bliskich.

Milczę w grupie,
tych co przeżyli twogę,
i strach na drodze
życia
w pokoju i wojnie.

W ciszy przestroga,
dbałość o pamięć,
o tych co za nas
odeszli do bram
otwartego nieba.

Wojciech Kaliszewski

Antologia polskich i węgierskich wierszy chrześcijańskich

Antologia zatytułowana *Na Anioł Pański biją dzwony*, prezentująca wiersze o tematyce religijnej współczesnych poetów polskich i węgierskich, stanowi zbiór utworów głęboko związanych z chrześcijańską tradycją kultury europejskiej. Jest to więc zbiór zbudowany wokół wyraźnej i jasno sprecyzowanej osi tematycznej. Chrześcijaństwo – jak czytamy w przedmowie głównego redaktora antologii, Konrada Sutarskiego – stanowi wielowiekową ramę cywilizacji Europy. Dzięki niej mogła powstawać, kształtować się i rozwijać struktura państw tworzących nie tylko polityczną, ale i aksjologiczną mapę kontynentu. Była to wspólnota trwająca przez całe stulecia, wypełniająca w miarę swoich realnych możliwości misję ewangelizacyjną i wskazująca ludziom – bez względu na ich stan i kondycję społeczną – drogę do ostatecznego celu, do Królestwa Bożego.

Drugie tysiąclecie przyniosło wiele zmian w obrazie chrześcijańskiej Europy. Podziały, schizmy, rozpady wspólnot, wojny, najazdy, polityczne antagonizmy i spory a do tego w końcu silne tendencje laicyzujące kulturę europejską – to tylko krótka lista czynników niszczących chrześcijańską Europę. Mimo to chrześcijaństwo jako element spajający europejskość przetrwało i nie uległo zatraceniu, ale wciąż przecież poddawane jest działaniu różnych wrogich mu – zewnętrznych i wewnętrznych – sił. Europa dzisiejsza nie zawsze chce przyznawać się do własnego dziedzictwa. Można w tym miejscu zadać pytanie czym byłaby dzisiaj Europa i czym bylibyśmy my, jej mieszkańcy, gdyby ta wielka tradycja została rozmyta. Kim bylibyśmy bez Boga, Opatrzności, Bożego Miłosierdzia, czym kierowalibyśmy się na co dzień bez miłości, wolności i godności, bez wartości zakorzenionych w chrześcijańskim nauczaniu? Nie są to – niestety – pytania abstrakcyjne. Współcześnie zagraża nam, naszej kulturze i Europie wiele niebezpieczeństw związanych z przemianami zachodzącymi w skali całego świata. I na te zagrożenia wskazuje Konrad Sutarski, uzasadniając tym samym pomysł zbudowania antologii wierszy o tematyce chrześcijańskiej.

Nie ulega wątpliwości, że taka antologia stanie się ciekawym źródłem lektury dla współczesnego czytelnika. Zebrane w niej wiersze tworzą bowiem niezwykle przyciągający i bogaty – wyobraźniowo, pojęciowo i stylistycznie – horyzont współczesnego poetyckiego czerpania z tradycji chrześcijańskiej. Przedstawiona antologia buduje ponadto na nowo więź między sztuką słowa i wiarą, jest sumą współczesnej wrażliwości na chrześcijańskie wyzwania stawiane światu i człowiekowi. Dzięki zamieszczonym w niej wierszom zarysowany został klarowny obraz współczesnej poezji inspirowanej treściami religijnymi. Po trzecie ten zbiór przeczy powierzchownej, ale często dzisiaj przywo-

tywanej opinii, że poezja religijna jest sztuką *minorum gentium*.

Antologia *Na Anioł Pański biją dzwony* przedstawia – o czym wspominałem na wstępie – wiersze poetów polskich i węgierskich. To zestawienie nie jest przypadkowe. Chodzi przecież o podkreślenie szczególnej relacji i więzi jakie łączyły te dwa narody, wpisujące się aktywnie w świat cywilizacji chrześcijańskiej od przełomu pierwszego i drugiego tysiąclecia. Nasze kultury i naszą historię wiele łączyło i łączy nadal. Ciekawe i godne lektury jest więc zestawienie na płaszczyźnie tak znaczącej tradycji właśnie polskich i węgierskich poetów. A lista autorów jest naprawdę interesująca. Znaleźli się na niej twórcy wybitni, znaczący, ale są też tacy, którzy szerszemu gronu czytelników nie są znani. Jednych i drugich łączy niewątpliwie potrzeba zgłębiania sensu Bożej miłości, mądrości i piękna, które są dla nas, ludzi, niezwykłym i wciąż żywym darem. I czytanie tych poetów niech nam wciąż przypomina – jak pisał Zbigniew Herbert – że „cierpliwy głos książki poucza: najgorszą rzeczą w sprawach ducha jest pośpiech”. To prawda, o której zawsze warto pamiętać.

W przedstawionej antologii znajdziemy wiersze między innymi Karola Wojtyły, Czesława Miłosza z poruszającym wierszem *Modlitwa*, Zbigniewa Herberta, ale także Anny Kamieńskiej, której piękny, prosty językowo wiersz zaczyna się od słów „Dzień dobry Panie Boże” stanowi przykład głębokiego namysłu nad relacją Boga i człowieka. Są w antologii także utwory Tadeusza Nowaka, Kazimierza Nowosielskiego, Wisławy Szymborskiej i Adriany Szymańskiej, a także księży: Jana Twardowskiego, Janusza Kobiernickiego, Jana Sochonia, Janusza Pasierba czy Jerzego Szymika. Nie wymieniam wszystkich, bo antologia jest obszerna. Ale już te nazwiska wiele mówią o doborze autorów. To są doskonali poeci i oni określają miarę wartości całego zbioru. W ich świetle mniej znani autorzy przemawiają jakby mocniejszym niż zazwyczaj głosem. Całość bez wątpienia tworzą wszystkie przywołane tutaj tonacje i akcenty.

Spośród poetów węgierskich, tłumaczonych w antologii przez Jerzego Snopka, Konrada Sutarskiego i Trojana Tunde warto wymienić na przykład wybitnego twórcę Janosa Pilinszky'ego. Jest tu Istvan Tari, jest Sandor Csoori, czy Nagy Gáspári wielu innych. Blok wierszy węgierskich także został poprzedzony przedmową autorstwa Janosa Baty. Pisze on między innymi o realnej potrzebie obrony kultury chrześcijańskiej przed zacieraniami jej wyrazistości i odrębności. Naszym moralnym obowiązkiem – powiada – jest dbać o to, co pozostawili nam nasi przodkowie. Bez tego nasz świat, tracąc tożsamość, przestanie być naszym światem.

T.S. Eliot napisał kiedyś tak: „W moim przekonaniu powinnością wszystkich chrześcijan jest obowiązkowe, świadome podtrzymywanie pewnych kryteriów i norm, oprócz tych, jakie stosuje reszta świata i wedle tych norm i kryteriów wszystko, co czytamy, musi być ocenione.” Ta uwaga znakomicie odnosi się do pomysłu stworzenia przedstawionej tutaj antologii. Jej „czytanie” powinno te „kryteria i normy” przypomnieć i przywrócić do życia.

„Na Anioł Pański biją dzwony”. Antologia w obronie chrześcijańskiej Europy”, Budapeszt, Kielce Warszawa (2025), inicjator i red. nac. Konrad Sutarski (Poznań, Budapeszt).

Jerzy Beniamin Zimny

Wędrownica w ciemności

Drogi pisarzy prędzej czy później muszą stać się drogami labiryntowymi, albowiem najważniejsza, najistotniejsza jest wędrownica w ciemności i jest to najsprawniejszy etap w twórczości. W gruncie rzeczy, tylko te kilka lat w życiu liczy się najbardziej, kiedy autor dotyka otchłani próbując utrzymać równowagę na kruchej granicy między samotnością i nicością. W tym sensie poeta jest akrobatą, linoskoczkiem, nie zaś szamanem jak chcieliby organizatorzy konkursów, slamów, zdobywcy nagród literackich. Podstawą improwizacji i slamu jest szaleństwo. Dobra rzecz, jeśli chce się nim zaszokować czytelnika. Fatalna, kiedy w taki sposób buduje się dzieło życia (...)

Autorem powyższych wywodów mogłem być i ja, jakieś trzydzieści lat temu. Ale nie byłem, ponieważ nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem beneficjentem korzystającym z dobrodziejstw ciemności rozumianej jako labirynt, z którego można wyjść z niczym, lub kluczyć świadomie, wiedząc że z tego labiryntu nie wolno poecie wyjść. Dla dobra poezji, dzieła życia. Pewien młody poeta uświadomił mi coś, czego dotąd nie rozważałem, a co stanowiło nieodłączną aurę wiążącą nade mną latami. Nie wiem w jakim stopniu zawiły był mój labirynt, nie mam pojęcia jak dalece tkwiłem w samotności, i w którym miejscu przebiegała i nadal przebiega granica, za którą już tylko nicość. Nicość rozumiana jako wyjście z labiryntu, a więc koniec wędrownicy w ciemności. Poeta ten za Brodskim i Brandstaetterem głosi teorię dzieła poetyckiego, które niczym embrion kształtuje się w poecie, w procesie inkarnacji, którym się poddaje. Są to wcielenia ciemne, wywodzące się z jądra ciemności, wnoszonego do siebie, po to aby miażdżyć, przelewać na papier. Miażdżenie takiego jądra musi narodzić się w sercu poety, inaczej utwór rozplynie się w powietrzu? Taki poeta rozumie przesłanie Brodskiego ale przeraża go łatwość wyrażania takich poglądów. I ja tak sądzę, ale mimo upływu czasu, gruntownych przemian społecznych, poezja wielce zajmująca ma swoje jedyne źródło, tak trafnie zdefiniowane przez Brodskiego.

W wywiadzie udzielonym pewnemu pismu, wspomniany poeta deklaruje swój światopogląd oparty na gnozie. Nie uważa siebie za poetę katolickiego w rozumieniu katolicyzmu w pisarstwie, jaki prezentował Jerzy Zawieyski i Roman Brandstaetter. Dlatego wolno mu spoglądać pękniętym okiem na Lourdes, Medjugorie, śmierć Marty Robin i Całun Turyński. Cóż, młodemu poecie, człowiekowi można ufać do momentu takich wyznań, albowiem proces dociekania prawdy w jego przypadku dopiero się zaczął. Empiryzm ma to do siebie, że jest jedynym wiarygodnym źródłem poznania. Poeta ma przed sobą całe życie. Póki co, jeszcze spogląda pękniętym okiem ale przyjdzie taki moment, kiedy to oko scali się samo. Wiara czyni cuda, podobno. Ja odwrócę tę zależność: cuda tłumaczone przez wiarę, a więc zjawiska niewytłumaczalne przez naukę w wymiarze osobistych doświadczeń. Przytoczę kilka modeli i to nie z obszarów zmysłowych, namacalnych, materialne, bo dotyczą przedmiotów będących w otoczeniu, w zasięgu ręki. Model dźwięku spadającego przed-

miotu, model światła w okolicznościach śmierci klinicznej, fazy fizycznego zgonu.

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 96/2026

Model snu na jawie, w miejscu tragicznym. Zaznaczam, struktura każdego z wymienionych modeli jest materialna, nie ma mowy o przypadku, zaangażowanych po- nadnaturalnie zmysłach, czy urojeniach wynikających ze stanu psychiki. Co ważne, doświadczenia te mają swój początek we wczesnej mojej młodości. Z czasem coraz bardziej przybierały materialną postać. Nie będę szczegółowo opisywał każdego zdarzenia. Nie widzę takiej potrzeby tutaj. Możliwe, że kiedyś wszystko dokładnie opiszę, co nie zmienia faktu, że każdy z myślących ma prawo do własnego zdania i prawdą jest, że z upływem czasu świadomość podlega procesom weryfikacji, w miarę osobistych doświadczeń.

Nie byłem w Lourdes, nie widziałem Całunu Turyńskiego, sanktuarium nie zrobiły na mnie większego wrażenia, nawet cudowne miejsca nie dały mi tyle doświadczeń, ile zwykła codzienność. Jedyne w Medjugorie stos wahań i inne fetysze pochodzące z różnych kultur, utwierdziły mnie w przekonaniu o tym, że jedynym źródłem prawdy jest Demiurg. Oto szaman, cudotwórca, uzdrowiciel – składają na stosie przedmioty swojej magicznej energii. Przed kim, pytam. Przed bazyliką objawienia? Nie, to byłoby zbyt proste, wytłumaczalne, bo trzeba wiedzieć, że tego stosu nikt nie ruszy, nawet gdyby wahańka były ze złota. Podobnie jak bomby Serbów, które zrównały z ziemią Mostar, a bazylika stoi nie tknięta, i nieważne za sprawą czego i z czyjego rozkazu. Tu znajduję potwierdzenie odwiecznego dogmatu: *ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało*. I tu, w tym miejscu jest styczna wspomniana przez Poetę, po której przesuwają się koła życia świata. Nie sposób uciec od tej stycznej, żadna cięciwa nie wyprowadzi nas poza koło życia świata. Z tego powodu samo zetknięcie się z tą styczną musiało stać się punktem narodzin kultury, oraz literatury jako artefaktów i fetyszy życia nieśmiertelnego. Przywołuję tu wspomniane wahańka na stosie w Medjugorie. Co więcej, jeśli koło życia świata zdołałoby oderwać się od stycznej, oznaczałoby to ostateczną śmierć umysłu. Teraz rozumiem dlaczego Karol Samsel swego czasu napisał cykl wierszy, swoistych – szczególnych prób dialogu z nieznanymi mu osobami, których nazwiska znalazł na obeliskach cmentarnych. Nasz poeta, młody człowiek – bliższy coraz dalej? I to jest ta magia, której poszukuję w osobowości poety. Jak długo, myślę że z tego labiryntu nie wyjdzie, bo nie ma takiego zamiaru, a Brandstaetter będzie mu coraz bliższy, oczywiście jako katolicki poeta.



Maciej Porzycki

Ach

Powstaje napięcie
no to strzała

nie dorastając
jednak poszła

depcze po obu
goni tę jedną

ani chybi
będzie trafienie

mamy punkt
gramy dalej

pełny obrót
właściwie wolta

skończona ofiara
opada na pięcie

Grzegorz Bazylak

Babia wieś

W środku tego miasta tuż za mostem
i pomnikiem powstańców
naprzeciw szpitala i całkiem blisko kościoła
garnizonowego
nad rozmokłym brzegiem Brdy rzeki
zbawienia rzeki zapomnienia
jak na granicy między lekiem a narkotykiem
wciąż stoi parkan
z przegniłych październowych płyt
który osuwając się w nicość
przywraca nas ludzkości jak intencja
co przestała być rozpoznawalna
gdy ktoś nabazgrał na nim czarnym sprejem
rozwartą paszczę wilka
obok spadającego z deskorolki tłustego
szczura oraz napisał słowa
wsluchane w siebie i przekaz spoza świata
algorytmów i aplikacji
jak strzęp alertu odezwij lub wiersza:
Głodny? Zjedz bogatych.

Krzysztof Grzechowiak

Ręka

Hani K-S

Zdumiewa, że jest jeszcze w tym świecie ręka
której chce się dotknąć, być jej rękawiczką
ukryć ja we wnętrzu i chronić przed zimnem
I wtedy pękają wszystkie twoje lody
obojętny latami, gdy byłeś jak sopel
w pancerzu nieprzystępny towarzysz
ciemności
a teraz nagle ta ręka i skóra płonie
nazwij to jak chcesz, jak jabłko miłość
nie pada daleko od swego pobielonego pnia

Magdalena Blumczyńska

Oczekiwanie

Jestem
tu i teraz.
Myślami jednak błędę
po zatokach
twoich oceanów.
Po zaułkach
twoich portów.

Serce
jak mewa
zrywa się z krzykiem
i łopotem skrzydeł
na widok żagli na horyzoncie.
Czekam
jak
portowa dziewczyna
na Twój powrót.

Romana Cegielna-Szczuraszek

14.05.2014

z szacunku dla pewnych
dobrych elementów ciebie
chciałabym podwójnie
ładnie umrzeć
mi bez cierpienia i tyle
wystarczy
tobie byś cierpiał
moim zniknięciem
byłoby elegancko
choć dla mnie obojętnie
już
a tobie straszno
dopiero
wszystko ma początek i koniec
gadamy bzdury
by je skończyć
ich dokonać je skonać
tylko nie wiem czy to będzie tak
ładnie umrzeć

Dylematy egzystencjalne w poezji Tomasza Rebety

Pisarz spod Lanckorony (z Jastrzębi, rocznik 1951) zadebiutował zbiorem wierszy: *Tak sobie rozmawiam* (2019). Po pięciu latach kontynuuje twórczość tomem: *Jeszcze rozmawiam*. Już na wstępie należy zaznaczyć, że jego liryka jest zarówno próbą rozmowy z samym sobą, jak i z otaczającym światem. W tej drugiej książce poetyckiej ważne dla autora są takie nieodłączne składniki przemijającego życia, jak choroba, cierpienie i finał ludzkiego istnienia (śmierć). Zbiorek Rebety dzieli się na trzy wymowne rozdziały: *Dwie podróże, Na tarasie i Liście*.

Pierwszy rozdział stanowi liryczny dziennik chorowania (poety i jego żony Danuty), hospitalizacji, nieuchronnej drogi przez ból i mękę w obliczu groźnej choroby. Charakterystyczne są tu tytuły wierszy, np. *Droga do nadziei, Operacja, Chemia zaccęta, Szpitalny Chrystus, Jestem w świetle kropłówek, Bóg zostawił drzwi uchylone*.

Choroba i powolne umieranie wraz ze starzeniem się i wiekiem łączą się nieuchronnie z problematyką śmierci. A stąd tylko krok do tanatologii filozoficznej i bioetycznej, które mają też swój sens psychologiczny i dotyczą każdego: mówi się o lęku przed śmiercią, o lęku przed byciem zmarłym i o lęku przed samym umieraniem. Wyróżnia się tu w związku z tym po pierwsze tzw. problem Platona, czyli problem śmierci, wiążący się z trudnościami w definiowaniu śmierci i stwierdzeniu zgonu. Po drugie tzw. problem Epikura, który dotyczy głównie kwestii związanych ze stanem i statusem ludzkiego ciała po śmierci. Trzeci wreszcie jest to tzw. problem Tołstoja, czyli problem umierania.

Powyższe dylematy znajdują odzwierciedlenie także w omawianym pierwszym rozdziale książki Rebety. W stanowiącym jak gdyby podsumowanie wierszu: *Bóg zostawił drzwi uchylone* autor stwierdza: „Bóg zostawił drzwi uchylone/ Świat oddycha późną jesienią/ Ostatnia chemia/ Udało się/ Wychodzę/ Wykorzystać czas który pozostał na życie”.

Rekapitulując, pomimo obecności motywów choroby i śmierci, a może właśnie z tego powodu, książka poetycka Rebety zasługuje na baczne zapoznanie się nie tylko przez starsze pokolenie czytelników i osoby zmagające się z cierpieniem, chorobą. Przekonuje bowiem także młodych do właściwego podejścia do daru życia. Jeżeli nie spotka nas śmierć nagle, to zwykle przy końcu egzystencji dochodzi do rachunku sumienia obejmującego całe życie. Właściwe jest to szczególnie człowiekowi wierzącemu. Nawet gdy nie wszystko na tym świecie załatwić się udało, przed takim człowiekiem otwiera się perspektywa wiecznego życia i zbawienia.

Tomasz Rebeta: „Jeszcze rozmawiam”, Towarzystwo Przyjaciół Lanckorony, Lanckorona 2024.

Agnieszka Mąkinia

Sekrety prozy

- Jesteś świetna w poezji, szkoda czasu na prozę. Poza tym do pisania prozy potrzebne jest doświadczenie, którego nastolatka nie posiada. – mawiała moja Mama kiedy pokazywałam Jej mini – powieści, których nigdy nie dokończyłam.

Tak samo było szkoda czasu na matematykę, fizykę, chemię. Klasa humanistyczna, gdzie królowała historia i rzecz jasna, język polski. Bardzo mi to odpowiadało. Z tą prozą to się na początku trochę buntowałam. Wszakże postawiłam ostatecznie zasadniczo na twórczość poetycką.

W dorosłym życiu, po debiucie poetyckim, próbowałam pisywać mini-opowiadania na konkursy i nawet odnosiłam sukcesy. Kilka wyróżnień w pismach ogólnopolskich. Co ciekawe, te teksty bazowały na moim doświadczeniu zdobytym w pracy z dziećmi lub podczas zagranicznych wakacji. I wtedy przyznawałam Mamie rację, że do prozy doświadczenie jest bardzo przydatne.

Interesującym epizodem w tych prozatorskich próbach było zebranie i przedstawienie w formie eseju górskich dokonań mojego Ojca na wyraźną prośbę... Mamy... No cóż, miłość i konsekwencja to nie są papużki – nierozłączki. Praca o Himalajach i himalaistach na podstawie materiałów źródłowych była wyzwaniem. Takiej tematyki nie można było poruszać na podstawie doświadczenia. Mama sugerowała, że zdobywanie gór dla Ojca było tym samym, czym dla mnie jest stawanie na scenie. Podjęłam próbę wejścia w emocje. Najważniejsze było skupienie się na faktach, uporządkowanie ich, stworzenie ciągu logicznych zdarzeń. Udało się i pracę opublikowano w kilku pismach.

A mnie nadal nurtowało od lat nastoletnich, co tak naprawdę potrzebne jest do stworzenia dobrej prozy. Wydaje się, że choć doświadczenie na pewno jest istotne, a talent – niezbędny, to trzeba także wykazać się znajomością leksyki i reguł gramatycznych. Ważne są też pewne cechy stylu, o których pisała Maria Nagajowa w książce *Słowo do słowa*. Była to moja Biblia literacka czasów nastoletnich. Autorka rozważając podstawowe cechy dobrego stylu radzi, by pisać: *jasno i zrozumiale, ... prosto i zwięźle, ... żywo i barwnie, ... przekonująco i sugestywnie, ... grzecznie i kulturalnie*. Oczywiście rozwija każde z tych sformułowań.

Myślę, że zwłaszcza dla początkujących twórców, książka Marii Nagajowej może być świetną szkołą dobrego pisania nie tylko prozy. Choć pewnie dziś u niektórych buntownicze nastawienie mogłoby wzbudzić owo *grzecznie i kulturalnie*. Ja wszelako optuję za *prosto i zwięźle*, dlatego odsyłając Czytelników do źródła kończę rozważania na temat prozy przyznając rację... Mamie.

Celina Łęgowska-Lesiewicz

Ścieżki i zaułki

4 sierpnia 2025, czwartek

Na sąsiednim osiedlu jest mały rynek. Kupuję u Pana sprzedawcy jajka. Ciepło. Gorąco. Klientów nie ma. Wywiązuje się zatem między mną a Panem sprzedającym życzliwa rozmowa, której przysłuchiwała się jakaś Pani. Pan jest bardzo sympatyczny, podarował mi brzoskwinie i czerwoną różyczkę. Ot tak, bez okazji, bo jestem otwarta, wysłuchałam go, pożartowaliśmy... W związku z tym ja „uruchamiam” mój handel wymienny i mówię: „napiszę o Panu do gazety”. Pan uśmiechnął się od ucha do ucha. Takie gesty, niby drobiazgi, a bez których nasze Życie jest tak szare, bure i jałowe. (...)

Z Antykwarjatu „Bukinista” poszłam do „Starej Prochowni”. Czyli cały czas Jeżyce. Tam, w ogródku „Pod balkonem” moja koleżanka po piórze Jolanta Ciecharowska zorganizowała spotkanie trzem potom: Sergiuszowi Myszograjowi, Radosławowi Marcinowi Bartzowi i Karolowi Pitule. Na tę niezwykłą okoliczność włożyłam mój wyjściowy słomkowy kapelusz. Przyszłam, gdy spotkanie już trwało, poeci zdążyli przeczytać już trochę wierszy, Jola wraz z akompaniatorem – Romualdem Andrzejewskim – wykonali utwory muzyczne. W ogródku nasz Klub Literacki „Dąbrówka”, czyli znani Przyjaciele. Pogratulowałam Sergiuszowi metafory, iż katedra to „Ewa” (takie porównanie w jednym swoim wierszu zastosowała Autor) i Sergiusz odpowiedział mi dowcipnie, że jestem piętnastą osobą, która mu to mówi. Tylko się cieszyć – to znaczy, że jego tomik jest czytany, znany, rozpoznawany. Atmosfera niezwykle miła, życzliwa – dwie Panie Twórczynie – Róża i Kalina poruszały się z tanecznym wdziękiem. Jola jak zwykle pięknie ubrana i wystylizowana ubarwiała Publiczności czas swoim śpiewem i w tej oazie spokoju, kameralności wrzuconej niemal w centrum miasta miało się wrażenie, że jakoś się zatrzymał czas. Nikt się nie spieszył, wszyscy byli dla siebie mili i uprzejmi... Naprawdę, magiczne miejsce.

19 sierpnia 2025, wtorek

NAPOTKANY CZŁOWIEK: Teraz nastąpi „zderzenie”. Poprzednia moja refleksja dotyczyła dwóch spotkań poetyckich, które odbyły się jednego dnia. Czyli: obcowanie z wysoką sztuką, wrażliwością, subtelnością, głębią, kulturą. Tymczasem we wtorek siada koło mnie na przystanku Pan. Jest ciepło. Pan jest alkoholikiem – ma charakterystyczną, zniszczoną alkoholem czerwoną, nabrzmiałą twarz i wręcz zionie tym strasznym, również charakterystycznym zapachem a właściwie smrodem: wódki, piwa, papierosów, męskiego potu, brudu – jest to zapach znaczący, że jeszcze niedawno spożywany był alkohol. Co jednak zwróciło moją uwagę: Pan ubrany był w czarny T-shirt z nazwą heavymetalowego zespołu kiedyś bardzo popularnego: „IRON MAIDEN”. Na plecach miała napisane: „Life after death”. I były tam malunki jakichś wampirów, jakieś zmory, potwory... Pomyślałam sobie – człowieku, zniszczyłeś swoje Życie i może faktycznie

TAK będzie wyglądało Twoje „ŻYCIE PO ŚMIERCI”? Oczywiście ABSOLUTNIE tego temu Panu NIE ŻYCZE...

21 sierpnia 2025, czwartek

Anna Landzwójcak, poetka związana ze środowiskiem z mojego Klubu literackiego „Dąbrówka”, jest już twórczynią uznaną i bardzo doświadczoną. Wydała 10 tomików poezji. W związku z prezentacją jej dorobku, spotkaliśmy się my – jej Przyjaciele po piórze w Bibliotece Raczyńskich na stosownym wieczorze. Sponsorem spotkania była firma „Enea”. Spotkanie prowadziła Magdalena Pocgaj – również twórczyni znana, doceniana, szanowana przez naszą poznańską grupę literacką oraz Paweł Kuszczczyński, Prezes ZLP. Wiersze, jakie zaprezentowała Autorka były abstrakcyjne, głębokie, mocno egzystencjalne. Ich lekturę wzbogacała swingująca muzyka – zespół wykonywał piosenki do słów Gwiazdy wieczoru. Oczywiście na sali wywiązała się piękna, artystyczna atmosfera, a ja podarowałam poetce elegancką różę.

NAPOTKANY CZŁOWIEK: Idąc na spotkanie z Anną Landzwójcak spotkałam na Placu Cyryla Ratajskiego Pana Eugeniusza. O Panu Eugeniuszu już kiedyś pisałam – jest żywą legendą poznańskich dominikanów oraz zмага się niestety z poważną chorobą alkoholową. Widywałam go przy klasztorze, gdy prosił wiernych o datek, a ja chodziłam na modlitwy Wspólnoty „JEROZOLIMA”. Dawałam Panu Geniu te kilka złotych i mówiłam: „tak zimno, a Pan tu na ziemi siedzisz?” Pan Geniu odpowiadał: „teraz to nie są żadne zimy. Za stanu wojennego to były zimy”. Oczywiście ma rację. W Pandemii Pan Geniu znikł, usłyszałam wieści, że był na leczeniu w Ośrodku dla alkoholików w Charcicach. Podobno całkiem dobrze mu szło. I dzisiaj właśnie widzę jego samego – można jeszcze napisać, że z wyglądu Pan Geniu jest bardzo podobny do innego, wybitnego poznaniaka – Pana Bohdana Smolenia – widzę Pana Genia w centrum miasta w całkiem dobrej formie!!! Zagadałam, ale mało mnie pamiętał. Mówię: nałóg alkoholowy już pokonany? Uśmiechnął się. Wyjął jednak „lufkę” do papierosów i powiedział: „kilkadziesiąt lat już nie mogę się z tym rozstać... I tak już chyba zostanie”. Rozpogodziłam się. Jakiś nałóg trzeba mieć, żeby było z czym walczyć w Życiu...

26 sierpnia 2025, wtorek

NAPOTKANY CZŁOWIEK: Na przystanku linii tramwajowej nr 92 spotkałam Panią Paulinę. To jeszcze stosunkowo młoda kobieta, ubrana w elegancką czerń. Okazała się niezwykle otwarta, rozmowna i sympatyczna. A dlaczego? Okazało się, że studiowała dziennikarstwo. Jeśli chce się cokolwiek uzyskać w tej tak trudnej profesji, to nie można być cynicznym, trzeba zawsze być wrażliwym na drugiego Człowieka – to pisał już mój Mistrz i Przyjaciel – śp. Pan Ryszard Kapuściński. Od razu polubiłam Panią Paulinę i wymieniliśmy się doświadczeniami zawodowymi. Okazało się, że moja rozmówczyni zmieniła jednak profesję, ponieważ w branży nastąpiły przekształcenia i musiała się przekwalifikować. Jednak ta czułość, sympatia, ciekawość Innego w niej pozostała... Tak. Żaden prawdziwy dziennikarz NIGDY jej nie traci.

Poeta — człowiek szalony (?)

Słowo „zwarować” jest jednym z tych kolokwializmów, które robią zawrotną karierę właśnie dlatego, że są nieprecyzyjne. W języku potocznym mieści się w nim niemal wszystko: choroby psychiczne, zaburzenia emocjonalne, długotrwałe kryzysy, nadwrażliwość, melancholia, a czasem po prostu intensywne myślenie i niezgoda na świat. „Zwarować” nie opisuje stanu — raczej go etykietuje. Jest skrótem, który pozwala nie wnikać w szczegóły, gdy rzeczywistość okazuje się zbyt złożona. Nieprzypadkowo to słowo tak często pojawia się w rozmowach o poezji. Niedawny tekst Arkadiusza Aulicha *Poeci przeklęci – między światłem a otchłanią* [„Protokół Kulturalny” nr 94/95] przypomina, jak silnie w kulturze zakorzenił się mit twórcy, który musi cierpieć, aby pisać i który płaci psychiczną cenę za dostęp do „prawdy poetyckiej”. Artykuł ten — oparty także na osobistym doświadczeniu inicjacji w poezję „przeklętą” — pokazuje mechanizm uwodzenia: romantyzację bólu, estetyzację autodestrukcji, przekonanie, że im większe cierpienie, tym większa autentyczność.

Ten mit nie jest niewinną legendą. Jest narracją, która realnie wpływa na sposób myślenia o literaturze, a czasem także na sposób przeżywania własnego życia. Uczy, że destrukcja może być formą wierności sztuce, że stabilność jest podejrzana, że „dobrze urządzone życie” wyklucza głębię. W skrajnych przypadkach prowadzi do utożsamienia twórczości z ryzykiem, bólem i igraniem ze śmiercią — jakby poezja potrzebowała ofiary, by mogła istnieć. Tymczasem pytanie, czy poeta musi „zwarować”, wcale nie dotyczy zdrowia psychicznego w sensie klinicznym. Dotyczy raczej tego, jak rozumiemy poezję. Czy traktujemy ją jako efekt pęknięcia i kryzysu, czy jako szczególną formę uważności. Czy widzimy w niej objaw, czy świadomy wybór.

Myślenie o poecie jako szalonym człowieku ma długą historię. Przez wieki utrwał się obraz twórcy jako kogoś, kto widzi więcej, bo płaci za to cenę. Poezja bywała opisywana jako ekstaza, uniesienie, wyjście poza porządek zwykłego rozumu. Równoległe istniał jednak inny sposób myślenia: poezja jako praca nad językiem, nad formą, nad sensem; jako działanie wymagające skupienia, dyscypliny i odpowiedzialności. Te dwa modele długo funkcjonowały obok siebie, aż w pewnym momencie jeden z nich zaczął dominować. Momentem przełomowym było nobilitowanie cierpienia. Od tej pory twórca stabilny, racjonalny, „normalny” stał się figurą podejrzaną. Kryzys zaczął uchodzić za dowód głębi, a równowaga — za oznakę powierzchowności. Poezję zaczęto czytać przez biografie, a biografie — przez gesty autodestrukcyjne. Mit „poety przeklętego” stał się jednym z najbardziej trwałych produktów tego myślenia. Problem w tym, że jest to mit fałszywy i szkodliwy. Ciężkie choroby psychiczne i poważne zaburzenia emocjonalne nie sprzyjają twórczości. Raczej ją ograniczają: odbierają energię, zdolność koncentracji, wiarę w sens pracy. Jeśli w takich warunkach powstają wiersze, to mimo choroby, a nie dzięki niej. Uczynienie cierpienia źródłem poezji jest romantycznym

nadużyciem, które więcej mówi o naszych potrzebach mitologizowania niż o samym pisaniu.

Piszę więc z perspektywy poety, który nie zwariował. Nie dlatego, że nie zna trudnych emocji, lecz dlatego, że nie utożsamia ich z patologią. Jestem postrzegany jako człowiek racjonalny, funkcjonujący, dobrze osadzony w życiu. Mam obowiązki, rytm dnia, odpowiedzialności. I właśnie dlatego piszę. Poezja nie jest dla mnie ucieczką ani estetyzacją bólu. Jest narzędziem pogłębionego rozumienia świata. Z wiekiem coraz wyraźniej widać, że emocje nie znikają — one się komplikują. Stają się ambiwalentne, rozciągnięte w czasie, trudne do jednoznacznego nazwania. Nie domagają się już krzyku ani gestów granicznych. Domagają się precyzji. Poezja przestaje być ekspresją, a staje się praktyką uważności: próbą nazwania tego, co w języku codziennym zostaje pominięte. W tym sensie poeta nie jest kimś, kto czuje więcej niż inni. Jest kimś, kto „nie spieszy się z uproszczeniem”. Kto nie godzi się na redukcję doświadczenia do jednego słowa, jednej diagnozy, jednej legendy. Poezja zaczyna się tam, gdzie kończy się język funkcjonalny — nie dlatego, że świat się rozpada, lecz dlatego, że jest bardziej złożony, niż pozwala to wyrazić potoczna mowa.

Polemika z mitem „poety przeklętego” nie jest atakiem na wielkich twórców ani na ich dzieło. Jest sprzeciwem wobec sposobu, w jaki zostali zmitologizowani. Ich legenda — romantyczna, tragiczna, buntownicza — często przysłoniła sens poezji jako aktu porozumienia. Zamiast dialogu zaproponowała monolog bólu. Zamiast relacji — fascynację destrukcją. Figura „poety, który nie zwariował”, jest więc figurą oporu. Oporu wobec przekonania, że wrażliwość musi być opłacona cierpieniem. Oporu wobec narracji, która uczy, że tylko to, co skrajne, jest prawdziwe. Poezja nie potrzebuje choroby, by być głęboka. Potrzebuje uważności, dyscypliny i odwagi myślenia poza legendą. Być może dziś najbardziej niepokorne jest właśnie powiedzenie, że stabilność nie wyklucza intensywności, że odpowiedzialność nie zabija wrażliwości, że poeta nie musi „zwarować”, by widzieć więcej. Wystarczy, że nie zgodzi się na cudze mity zamiast własnego doświadczenia. Wystarczy, że nie zgodzi się widzieć mniej.



W bieżącym „Protokole Kulturalnym” zamieszczamy prace wybitnego artysty – Marka Cierniewskiego stworzone specjalnie dla numeru nawiązującego do siedemdziesiątej rocznicy Poznańskiego Czerwca 1956.

Dziękujemy!

Przytaczamy słowa krytyka Andrzeja Haegenbartha zamieszczone w katalogu wystawy Marka Cierniewskiego w poznańskiej Galerii Bekos (2009).

Są to prace malowane spontanicznie, charakterystyczne dla tego artysty. Lubi on bowiem „na gorąco” na papierze lub płótnie utrwalac to, co mu aktualnie w duszy gra. Kilka lat temu napisałem, że szkicuje pojedyncze przedstawienia jak stop-klatki z przewijających się w jego głowie kilku różnych filmów.

Ta obserwacja jest ciągle aktualna. Stąd symultaniczność figuratywnych i rysunkowych notacji pochodzących z różnych porządków. Współistnieją w niej sceny z różnych czasów i miejsc; to, co widziane łączy się, miesza i przenika z przeczytanym, przypomnianym, lub wyśnionym.

Marek Cierniewski (1951). Studiował na uniwersytecie im. Adama Mickiewicza i Akademii Rolniczej w Poznaniu, na Wydziale Leśnym (1975). W życiu artystycznym bierze udział od 1975r. W 1982 r. przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków. Obecnie jest członkiem Stowarzyszenia Polskich Artystów Malarzy i Grafików WIELKOPOLSKA. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień oraz Stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki w 1983 r. Miał 40 wystaw indywidualnych i uczestniczył w 62 wystawach zbiorowych w Polsce oraz w galeriach Budapesztu, Wiednia, Berlina i Hamburga.



Jerzy Grupiński

Sen Orła

Kiełkujący
obok dwóch krzyży
Orzeł oczekujący
skurczył się
Przysechł
Zmrużył
sennie oczy
jakby ktoś rozluźnił pięść
i czekał

Aż zbudzi go znów
krzyk tłumu
wycie syren
i warkot czołgów ?



PROTOKÓŁ

kulturalny

Wydawca – Klub Literacki „Dąbrówka”

przy Piątkowskim Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 120, 60-681 Poznań

Redaguje Jerzy Grupiński

e-mail jerzygrupinski@gmail.com

jsszwarcowie@wp.pl

Współpraca – Stefania Pruszyńska i Stanisław Szwarc

Przygotowanie do druku i korekta – Stanisław Szwarc

Druk – EuroPrint, Poznań, Pamiątkowa 19.

„Protokół” dostępny także na stronie

<https://protokolkulturalny.wordpress.com/>

(także numery archiwalne)

Autorzy przysyłający teksty do „Protokołu Kulturalnego” wyrażają zgodę na korzystanie ze swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych.

Autorzy ponoszą odpowiedzialność z tytułu naruszenia prawa spowodowanego publikacją ich materiałów.

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.